EPOKA

TYGODNIK

ROK I | Warszawa, 13 listopada 1932 R. | NR. 7

Czas na inną postawę!

Tło i zabòjca

Walka dwóch klik

Szajka zbójów

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Listy do „Epoki".

AUTORZY: CZOSNOWSKI, MELCER-SZTEKKEROWA, HOCHBERG
WIDZ, SIMON, KLOŃSKI, MICHAŁOWSKI, DĄBROWSKA.

C

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

»KRYZYSOWY UNIWERSYTET«

Amerykanie inaczej zapatrują się na szkolnictwo wyższe, aniżeli europejczycy. Gdy w krajach europejskich państwo utrzymuje i subwencjonuje wyższe zakłady naukowe, starając się udostępnić je najszerszym masom młodzieży, w Stanach Zjednoczonych przeważa pogląd, że studja wyższe — to luksus, na który mogą sobie pozwolić tylko ludzie zamożni. Istotnie, w Ameryce — przy bardzo wysokich opłatach — nie jest do pomyślenia typ studenta bez butów, utrzymującego się udzielaniem lekcyj.

Kryzys przełamuje stare uprzedzenia. Ponieważ liczba zamożnych młodzieńców zmalała, a bezrobotnych profesorów jest coraz więcej, praktyczni Amerykanie postanowili uprzystępnić wyższe szkolnictwo niezamożnej młodzieży. „Handel" zamienny zastępuje w tym przypadku brak gotówki. Studenci, w lwiej części synowie farmerów, dbać będą o żołądki profesorów, ci zaś wzamian będą uczyć swych pupilów.

Pierwszy taki „depression college" utworzony został w Port Royal, w stanie Wirginja, przy udziale szeregu wybitnych profesorów. Studenci sami sprzątają audytorja, w internacie sami gotują i zmywają statki; wszelkie produkty dostarczane są bezpłatnie przez ich rodziców. „Znaleźliśmy znakomite wyjście", powiada jeden z założycieli „kryzysowego uniwersytetu" dr. Hill, „bezrobotni profesorowie mają pracę i utrzymanie, niezamożni studenci mogą się uczyć".

Dobry przykład znalazł niebawem naśladowców: drugi „depression college" w Ameryce powstał niedawno w Natronie, w pobliżu Pittsburghu.

SIEDEM BEZCZYNNYCH KOLOSÓW

W dokach w Southampton spotkały się jednocześnie po raz pierwszy największe angielskie okręty pasażerskie: Majestic, Berengaria, Odympic, Aquitania, Cesarzowa Brytanji, Homeric i Mauretanja. Wszystkie stoją w porcie bezczynne: brak ładunków i pasażerów. Jakkolwiek niektóre z olbrzymów wkrótce znów wyjdą na Atlantyk, sam fakt jednoczesnego postoju przeszło 300 tysięcy tonn pojemności ładunkowej świadczy, jak groźne kręgi zatacza gospodarcze przesilenie na Zachodzie.

WSZĘDZIE TO SAMO

Garść faktów, zaczerpniętych z prasy angielskiej:

„W Maidstone przed tygodniem sprzedawano owce po szylingu (zł. 1.50) za sztukę"...

„Sześć większych farm wynajęte będą bezpłatnie, tylko wzamian za utrzymanie żywego inwentarza"...

„Podaż jęczmienia przekracza conajmniej pięćdziesięciokrotnie zapotrzebowanie na cele piwowarstwa. Cena jest niższa od zeszłorocznej o jedną trzecią"...

„Pszenica spadła w cenie przeszło o połowę"...

„Zamożny farmer, który w roku 1920 mógł podpisać swe nazwisko na czeku, opiewającym na 100 tysięcy funtów szterlingów, zarabia obecnie... trzy funty tygodniowo, a wkrótce będzie musiał opuścić swą farmę, by nie dokładać"...

„Zboże wartości 80 funtów sprzedane zostało z licytacji na poczet zaległego czynszu dzierżawnego za 10 funtów".

„Z Kentu donoszą, że tegoroczne zbiory leżą jeszcze po spichrzach. Brak nabywców"...

Liczba zarejestrowanych bezrobotnych przemysłowych przekracza w Anglji 3½ miljona. Dzieje się to w kraju, który przez setki lat żył zyskami ze swych rozległych i bogatych kolonij, który słusznie uchodzi za najzasobniejszy.

TEATR AWANGARDOWY

W Paryżu powstał nowy teatr awangardowy („Theatre d'action internationale"), o charakterze bardzo znamiennym dla dążeń naszych czasów, — teatr eksperymentalny, poświęcony ukazywaniu przemian socjalnych współczesnego świata z punktu widzenia najszerzej ujętej idei porozumienia międzynarodowego.

Na inaugurację została wybrana sztuka nader charakterystyczna dla programu teatru — „Cud pod Verdun" Hansa Chlumberga, młodego, tragicznie zmarłego dramaturga. Prolog ukazuje bezmyślną wycieczkę turystów, zwiedzającą pola bitwy pod Verdun.

Wśród rozgwaru patetycznych mów, frazesów bałwochwalczych na cześć poległych bohaterów, zaczynają oni powoli wstawać ze swych grobów. Niemcy, Francuzi, Anglicy, wszyscy...

Wówczas milkną frazesy, zmienia się postawa żywych, zmarłych przejmuje niedowierzanie, wyniosłość, niechęć, wreszcie nienawiść. Niema już dla nich miejsca. Pracę ich objęli inni, żony mają już nowych mężczyzn. Wreszcie w wyniku konferencji międzynarodowej zapada postanowienie, że muszą wrócić do swych grobów.

REFORMY W SOWIETACH

Obok przywrócenia tytułów naukowych (doktór, inżynier i t. p.) zniesionych w 1918 roku jako sprzecznych z doktryną władzy proletarjatu, rząd sowiecki ogłosił ostatnio doniosły dekret zmieniający zasadniczo zarówno system nauczania, jak i ustrój administracyjny wyższych uczelni.

W myśl powyższego dekretu, kandydaci pragnący studjować na wyższych uczeniach, poddani będą egzaminom z gramatyki i literatury rosyjskiej, z fizyki, chemji, matematyki, oraz nauk społecznych i politycznych. Presja jaką wywierały społeczno-polityczne organizacje młodzieży akademcikiej na profesorach, będzie ścigana i tępiona na równi ze „zdradą proletarjatu".

Dekret rządu sowieckiego przyznaje ciału nauczycielskiemu pełne prawo usuwania studentów leniwych lub nieposłusznych, niezależnie od ich gorliwości partyjnej a nawet ewentualnych zasług w tej dziedzinie. Wszelkie „mobilizowanie" studentów i profesorów do akcji o charakterze gospodarczym, lub politycznym jest jaknajsurowiej zakazane. Studenci mają się uczyć, a profesorowie nauczać, — i tylko.

Dekret powyższy stoi w rażącej sprzeczności z dotychczasową polityką władz sowieckich w tej dziedzinie. T. zw. rady studenckie, tracą swą rację

bytu, zwalczana zacięcie supremacja dorosłych nad młodocianymi znowu dochodzi do głosu.

W związku z ukazaniem się dekretu o wyższych uczelniach pojawiły się pogłoski o rzekomych przygotowaniach rządu sowieckiego do ogłoszenia analogicznej ustawy o szkolnictwie powszechnem, która równocześnie wprowadziłaby cały szereg zmian w pozaszkolny stosunek dzieci do rodziców, będący obecnie pod znakiem wojny w większości rodzin sowieckich.

SĄ LEKARZE I LEKARZE

Profesor uniwersytetu w Monachjum, jeden z bardziej znanych lekarzy dr. Fryderyk Lentz, który należy do gorących zwolenników Hitlera, wydał niedawno książkę p. t. „Dobór ludzki i higjena rasowa". W książce tej znajduje się ustęp następujący:

„Niema żadnej wątpliwości, iż choroby weneryczne dałyby się zupełnie usunąć z życia społeczeństwa. W tej dziedzinie przeciwstawiają się jednak zupełnej sanacji bardzo ważkie interesy gospodarcze. Należy sobie jasno unaocznić ten fakt, iż radykalnie i zasadniczo przeprowadzone zwalczenie plagi chorób wenerycznych pozbawiłoby chleba nietylko setki lekarzy specjalistów, ale zaważyłoby ciężko na dochodach i niewielkich dzisiaj zarobkach tysięcy lekarzy innych specjalności.

Doktór Lentz przyznaje zatem jawnie, publicznie, że liczni lekarze nie chcą — ze względów finansowych — uczynić pełnego użytku ze swej wiedzy dla zwalczenia jednej z największych plag ludzkości.

Przynajmniej szczerze i bez owijania w bawełnę frazesów uczynione wyznanie. Wyznanie to stawia w szczególnem świetle tych lekarzy, których ma na myśli doktór Lentz.

SKREŚLONY ARTYKUŁ

Długoletnia praca sekcji prawa karnego Komisji Kodyfikacyjnej została znacznie zniekształcona w ministerstwie sprawiedliwości w całym szeregu działów nowego kodeksu karnego. Wprowadzone zmiany dotyczą nieraz kwestyj bardzo istotnych, które wywołały już ożywioną dyskusję w kołach prawniczych.

Zupełnie niespostrzeżenie zniknął z projektu kodeksu karnego art. 197, w którym najważniejszy ustep brzmi, jak następuje:

„Kto będąc sprawcą ciąży uchyla się od udzielenia potrzebnej pomocy kobiecie, przez niego zapłodnionej, ulega karze więzienia do lat 2 lub aresztu do lat 2.

Jeżeli skutkiem takiego zachowania się nastąpiła śmierć tej osoby, jej upadek moralny, albo usiłowanie samobójstwa lub dzieciobójstwa, sprawca ulega karze więzienia do lat 5-ciu."

Przepis słuszny i sprawiedliwy, nad którego racjonalnością niema potrzeby się rozwodzić.

W ministerstwie sprawiedliwości został on skreślony z kodeksu karnego.

„Epoka" daje swobodny wyraz wszystkim kierunkom myśli humanitarnej.

CZAS NA INNĄ POSTAWĘ

Liga Narodów nie nagrodziłaby głośnej książki Gustawa Morcinka „Wyrąbany chodnik", nagrodzonej na ślązkim konkursie literackim.

Powieść ta daje na przeszło tysiącu stronicach przekrój życia śląskiego we wszystkich jego przejawach w ciągu ostatniego czterdziestolecia.

Tom pierwszy poświęcony jest walkom ludności polskiej z zaborczym nacjonalizmem niemieckim i częściowo czeskim, tom drugi obejmuje okres wojenny i dzieje kolejnych powstań. Całość kończy się wkroczeniem wojsk polskich do odzyskanej części Śląska. W ramy tej wielkiej powieści wtłoczony został materjał olbrzymi. W tem nagromadzeniu faktycznego materjału tkwi bodaj największa wartość powieści — wartość dokumentu. Nawał tego materjału odbił się natomiast ujemnie na artystycznej stronie utworu, autor bowiem nie był w możności sprostać swemu gigantycznemu założeniu, nie zdołał przetrawić i opanować bogactwa materjału, jakim rozporządzał i dlatego zwłaszcza w tomie drugim daje go w formie niemal surowej, raczej publicystycznej, niż artystycznej. Nie cofa się nawet przed cytowaniem dosłownych tekstów odezw i przemówień z okresu walk plebiscytowych. Bohaterem powieści jest pozornie Gustlik Wałoszek, pod którego przejrzystą maską nie trudno dojrzeć oblicze samego autora, w rzeczywistości jednak prawdziwym zbiorowym bohaterem powieści jest cały lud śląski, krwawo wyrąbujący chodnik ku zjednoczonej ojczyźnie. Tą zbiorowością tłumaczy się może zbyt słabe zindywidualizowanie charakterów: wszyscy są mniej więcej do siebie podobni, urobieni na jedno kopyto i różnią się raczej drugorzędnemi szczegółami.

Utwór jest zbyt mało skonsolidowany, narracja rozwlekła, obrazy o nierównej plastyce. Miejscami nie brak naiwnostek. Być może, że autor wykończając swą powieść na konkurs, nie miał już czasu, ani możności spojrzeć na nią jeszcze w rękopisie z pewnej perspektywy, dokonać retuszu i skrótów, na których mogłaby zyskać. Mimo tych braków „Wyrąbany Chodnik" jest dziełem istotnego talentu i rzetelnego wysiłku pisarskiego.

I wady i zalety podkreśliła już krytyka, naogół jednak, wdając się w drobiazgowe analizy artystyczne i psychologiczne, dyskretnie przemilczała ona naczelną nutę, dominującą w utworze: walką narodowościową.

Znamy dobrze oblicze nacjonalizmu niemieckiego na Śląsku przed wojną i po niej, znamy jego metody i nie podajemy w wątpliwość odmalowanego przez Morcinka obrazu straszliwego ucisku, stosowanego względem Polaków.

Zaborczy nacjonalizm germański wzbudził w uciemiężonej ludności śląskiej równie silną pod względem dynamiki wewnętrznej reakcję — obronny nacjonalizm polski. Jest to zjawisko zrozumiałe i zrozumiałem jest, że w śmiertelnej walce tych dwóch nacjonalizmów — a wypełnia ona całą powieść — sympatje czytelnika polskiego są po stronie ciemiężonych, oni bowiem walczą o rzecz słuszną, a swe ludzkie prawa do życia i rozwoju. Rozumiemy, że w tej walce na śmierć i życie gwałt się gwałtem

odpiera, zbrodnia zbrodnią, krew krwią a serca walczących przepełnione są nieubłaganą nienawiścią. Nie mamy też pretensji do autora, że dzieje tej walki przedstawił nam z całym bezlitosnym realizmem, przeciwnie, wdzięczni mu jesteśmy, za ścisłe historyczne i psychologicznie odtworzenie stosunków i nastrojów.

Ale te czasy już minęły, walka zakończyła się zwycięstwem, czas więc już ręce z krwi opłókać, zdusić w sercach pełgające płomienie nienawiści i krytyczniejszem okiem spojrzeć wstecz na emocjonalne przesłanki metod tej walki — nietylko u przeciwnika.

Słuszność była po stronie polskiej! Ależ tak, po stokroć tak, lud śląski walczył o swoje, należne mu niezaprzeczenie prawa — z przemocą opartą na gwałcie, bezprawiu, okrucieństwie i braku elementarnej sprawiedliwości. Nie do ludu śląskiego mamy też pretensję, że w rozpaczliwej swej walce obronnej dawał się niekiedy unosić zbyt daleko, a rozumował niekiedy zbyt prymitywnie, ale do autora, że mimo upływu lat dwunastu, odkąd przestały już dymić zgliszcza i krew, mimo głębokich przemian, jakie zaszły w pojęciach świata — w jego pojęciach żadne przemiany nie zaszły, ślepa nienawiść narodowościowa w sercu jego nie ustała i siewcą tej nienawiści jest nadal w swojem dziele. Postawa jego jest bezwzględnie negatywna i nienawistna wobec wszystkiego co niemieckie: po tej stronie widzi on tylko gwałt, ucisk i okrucieństwo, barbarzyństwo systemu i sadyzm jednostek. Nielepiej też traktuje przeciwników czeskich na Śląsku Cieszyńskim. Wszystkie światła natomiast zgrupował po stronie polskiej. W blasku tych patrjotycznych jupiterów nietylko sam pobłaża występkom i okrucieństwom polskiego nacjonalizmu, ale wmawia w czytelnika, że najwyższe, niebieskie trybunały bezwzględnej sprawiedliwości przez palce patrzeć będą na występek popełniony w imię sprawy polskiej.

Zbyt już uproszczony podział zjawisk, zbyt nierówna miara oceny wartości!

Charakterystycznym jest pod tym względem jeden drobny epizod. Górnik Polak nazwał swego psa „Bismarkiem". W prostym umyśle górnika ta niemądra forma dania upustu swej nienawiści do żelaznego kanclerza była również dowodem patrjotyzmu. Za to został skazany na 100 mk. grzywny. Kara ta wzburzyła ludność polską. Gdy ktoś robi rozsądną uwagę, że to „głupota z waszej strony nazywać psa Bismarkiem", a „jakby tak który z Niemców ochrzcił swojego psa „Kościuszką?", to usłyszał w odpowiedzi, że sam jest głupi, bo „co inszego nazywać psa Bismarkiem, a co inszego „Kościuszką", bo Bismark był też wściekłym psem na nas, a gdyby Niemiec ośmielił się psa nazwać „Kościuszką", to dostałby w zęby, a psa by mu otruto.

Wprawdzie w tym konkretnym wypadku nie jest to wyraźny pogląd autora, lecz gawędzących górników, w ogólnej jednak postawie wobec postępowania stron obu i metod przez nich używanych i autor stosuje tę symplicystyczną filozofję, że zjawisko potępiane przez niego w obozie przeciwnym, po stronie polskiej uważa, „że to zupełnie co innego".

Otóż w tem właśnie rzecz, że to zupełnie to samo i czarne po stronie niemieckiej nie staje się białem po polskiej. Nie identyfikując bynajmniej niemieckich nacjonalistów z polskiemi narodowcami, nie możemy też pobłażać bezmyślnym i dzikim przejawom każdego nacjonalizmu, ani ich pod żadną formą podsycać, ani kontynuować siewu narodowościowej nienawiści. Takiej jednak postawy autora nie wyczuwa się w tej powieści i oto mamy do niego żal.

Liga Narodów napewno nie nagrodziłaby „Wyrąbanego Chodnika".

St. Czosnowski

TŁO I ZABÓJCA

Dziwny aspekt miała sprawa Blachowskiego: pierwiastki emocjonalne, te bezpośrednie, ludzkie, romansowe, naskutek których kobiety potrafią mdleć na sali sądowej, albo obrzucać kwiatami oskarżonego, te wszystkie pierwiastki były jej odjęte. Przemawia prokurator, sędziowie, obrońcy i oskarżony, wszyscy jednak mówią tak dobrze, z takiem wyrobieniem społecznem, tak doskonale orjentują się, o co właściwie chodzi, że cała rozprawa sprawia raczej wrażenie dysertacji na dany temat. Człowiek z Mazowieckiej, który z dwiema kulami przebiegł jeszcze na drugą stronę ulicy, żeby umrzeć, i ten drugi człowiek, który strzelał z poza mgły, spadłej nagle na jego mózg — to raczej tło, na którem rozgrywa się bezosobowy, w najwyższym stopniu współczesny dramat naszego ustroju społecznego, dramat naszego czasu. To też, chociaż wszyscy rozumieją doniosłość tego, co się dzieje, strona widowiskowa przewodu jest tak mało interesująca, że sala jest przez pół pusta w pierwszym dniu rozpraw, co się zresztą potem zmienia. Wychowanie nasze w sensie reagowania na abstrakcyjne bodźce jest jeszcze naprawdę w zaniedbaniu.

Od dziewiątej rano pierwszego dnia wiemy, co o tem wszystkiem myśleć. Z chwilą, kiedy adwokat Gacki wnosi o odroczenie procesu dla zawezwania dalszych świadków, masy działające w tym dramacie zostają już całkowicie skontrastowane. Adwokat Gacki użył nieopatrznie słów „robotnicy", „kapitalizm" i „walka klasowa". Sąd wychodzi na naradę, a po krótkiej chwili wraca: prośba obrońcy zostaje oddalona, natomiast sam obrońca dostaje, jak żak szkolny, upomnienie: nie wolno w procesie tak prostym (wydalony zabija dyrektora, do czego się przyznaje) używać uogólnień, a także słów, które nie mają nic do rzeczy...

Oczywiście, nikt nie może przypuścić, że wystarczy zakaz ujawniania tła zabójstwa, żeby ono zupełnie znikło, pozostawiając dwóch bohaterów dramatu, wykonywujących w próżni niepotrzebne gesty. Przecież trzeba sobie zdać sprawę, że bohaterem procesu był Żyrardów, a tym, który z dwiema kulami w piersi przebiegał ulicę, był także Żyrardów.

Do roku 1923 olbrzymie zakłady żyrardowskie zatrudniały około 6000 robotników. W roku tym nastąpiło przejęcie zakładów przez francuskie konsorcjum p. Boussac, który ma fatalną przeszłość. Od tego roku produkcja maleje, zamówienia nie są wykonywane, a liczba robotników spada do 1500 ludzi. Przez zrozumiałą zupełnie kokieterję, wywdzięczając się za prezent, zarząd, prowadząc masową redukcję, starał się jednocześnie u rządu polskiego o nieprzyznawanie bezrobotnym zapomóg, niechcąc swojemi prywatnemi sprawami obarczać naszego wycieńczonego skarbu. Nadanie koncesji na Żyrardów cudzoziemskiemu towarzystwu nastąpiło za rzą-

dów ministra Kucharskiego. Co właściwie dostaliśmy wzamian, dlaczego to właśnie wyjście z sytuacji uważane było za najbardziej pożądane, niewiadomo.

Nie chciałabym być źle zrozumiana. W Stanach Zjednoczonych Europy, które być może, kiedyś się zrealizują, krok taki byłby zupełnie na miejscu. Państwo jednak narodowe nie powinno oddawać kilku tysięcy swoich robotników pod niekontrolowaną władzę obcej narodowości, która dąży do realizacji swoich celów. Zły nacjonalizm zbyt głęboko zapuścił korzenie w serca ludzkie, żeby kontrasty narodowe nie znajdowały sobie ujścia w łatwych, potocznych powiedzeniach. Wymysły na „szwabów" i „prusaków", któremi to nazwami chrzcimy karaluchy, na „polskie" bydło, a także na „naród niedołęgów i złodziejów", jak znowu podobno Szwajcar dyrektor Gaston Koehler-Badin nazywał Polaków, same w prędkości przychodzą na usta i są charakterystyczne dla epoki państw patrjotycznych. Poprostu w konwersacji z przyjaciółmi zbyt chętnie każdy z nas posługuje się szematami utartych wyrażeń i niekoniecznie chciałby być wtedy łapany za słówka. Obrażony w ten sposób robotnik czy urzędnik jest obrażony nietylko osobiście, ale i w swojej godności narodowej, i poczuwa się do podwójnej reakcji — zupełnie zresztą słusznie. To jedna strona. A druga: p. Boussac prowadzi interesy bawełniane. Opinja publiczna zbyt ostro jest nastawiona na kombinacje, polegające na niszczeniu całych gałęzi produkcji, bądź poszczególnych fabryk, na korzyść kartelów, dyktujących ceny, — żeby nie doszukiwać się tego rodzaju objawów w gospodarce żyrardowskiej. Palenie zbożem i kawą w piecach, topienie w rzekach mąki (od czego nawet ryby się duszą), a u nas ostatnie posunięcia w fabrykach drożdży — oto fakty, które oburzają nas i przerażają. Skandale, które zeznania świadków ujawniły w Żyrardowie są znowu wodą na nasz młyn, tych, którzy o to krzyczą. Nawet, jeżeli nie stoimy na gruncie samostarczalności ekonomicznej państw narodowych, jeżeli niekoniecznie nam się wydaje, że każde państwo, bez względu na swoje bogactwa naturalne i warunki zbytu musi produkować wszystko, czego potrzebuje, to i wtedy jeszcze nie widzimy powodu, dla którego warsztaty naszej produkcji mają nam rozbijać obcy, pozbawiając jednocześnie pracy naszych robotników.

Niektórzy świadkowie bali się przyjechać, inni bali się zeznawać. Prokurator Fürstenberg musiał ich uspokajać, że winni represyj na świadkach będą pociągnięci do odpowiedzialności. Każdy z nas jednak wie, czego się może obawiać pracownik, zatrudniony w jakiemś przedsiębiorstwie, jeżeli przekonań swoich nie identyfikuje z przekonaniami chlebodawcy. Oto jeszcze jedno oskarżenie, skierowane przeciw naszemu ustrojowi, w którym dając pracę, kupuje się sumienie.

Różnorodne, często sprzeczne ze sobą aspekty sprawy żyrardowskiej w przedziwny sposób ukazują chaos powojennych stosunków w najgłębszych jego postaciach. Powikłane motywy zabójstwa w mechaniczny sposób eliminują z tej sprawy jednostkę, stwarzając jakgdyby szemat zabójcy i zamordowanego. Wnioski prawdziwe i fałszywe, wyciągnięte ze zdarzeń przez zabójcę tak się między sobą zazębiają, tyle tu jest spraw najwyższej wagi popartych przez najbardziej fałszywe przesłanki i z nich nawet jakgdyby wynikające, że osądzenie samej sprawy niezmiernie było trudne, jeżeli chodzi o piękną i czystą sprawiedliwość. Bo oto jeszcze na końcu przeświadczenie, z którem nie możemy się zgodzić, że wolno było strzelić, tak, że ta cała góra przesądów i najżywotniejszej, krwią ociekającej prawdy zwaliła się na człowieka, który przechodził ulicą Mazowiecką, i który jako jedyny wyraz swojego osobistego stosunku do zabójcy powiedział „weg!"

Sprawa żyrardowska nadawała się świetnie do tego, żeby przy niej piec polityczne pieczenie, jednak poprzez stąd i zowąd zjawiające się zeznania i tak widać prawdę. Jest ona groźna i majestatyczna i wiele głów przerasta. Bo ostatecznie wszystko, co się dotąd działo, miało jeden argument na swoją korzyść: oto można było jakoś żyć. Wielu ludzi chętnie zamykało oczy na konflikty z sumieniem, ponieważ dawało się je wytrzymać. Teraz argument ten upadł, za dużo jest głodnych i chciałoby się takiego ustroju społecznego, w którym wszyscy mogliby jeść.

Wanda Melcer-Sztekkerowa

WALKA DWÓCH KLIK

Był to wielki humbug.

Powtarza się to co cztery lata. Wówczas puszcza się w ruch całą — przyznać trzeba — najlepszą aparaturę amerykańskiego reklamiarstwa. Prasa, teatry i kina, szkoły i urzędy, sądy i prowincjonalne farmy, — wszystko nagle zostaje poruszone; wytwarza się sztuczną atmosferę „wysokiego napięcia", doprowadza się cichych, obojętnych obywateli do niezrozumiałej dla nich samych ekscytacji, wprawia się 120-miljonowy kraj w stan gorączkowej licytacji — cui bono?

Źle jest, gdy ludność żyje tylko polityką; tak się częstokroć dzieje w Europie. Gorzej jest jednak, gdy się naród polityką zupełnie nie interesuje, aż tu nagle, raz na cztery lata, poczynają nieszczęsnemu obywatelowi wbijać do głowy niezrozumiałe dlań komunały. W Stanach Zjednoczonych każdy wyrostek wiele słyszał o Schmellingu, Carnerze lub Nurmim, nie wie jednak, jak się nazywa gubernator jego stanu. Lindbergh jest niewątpliwie bardziej popularny od Lincolna, a Buster Keaton od Jeffersona. W tych warunkach rozhuśtać wielki aparat wyborczy jest sztuką nielada.

Czynią to, ze świetną zresztą perfekcją, oddawna wykwalifikowane dwa wielkie biura wyborcze: do walki stają w każdem czteroleciu dwa potężne stronnictwa — demokratów i republikanów, liczebnością swych adherentów odsuwające w daleki cień wszelkie pomniejsze grupy społeczne. Europejczyk przywykł do tego, by rozróżniać stronnictwa według programów, taktyki, nieraz nawet tradycji. W Ameryce byłby on zaskoczony zupełną niemożliwością odróżnienia demokraty od republikanina. Niegdyś różnice te były widoczne: gdy rosnący przemysł przeciwstawiał się rolnictwu, gdy toczyła się walka o zniesienie niewolnictwa, — a nawet niedawno jeszcze, gdy demokraci poszli z Wilsonem do zbliżenia z Europą, a republikanie owijali się w wygodny i egoistyczny płaszczyk Monroe'go: noli me tangere!

Co dziś ma do wyboru przeciętny „człowiek z ulicy"? Jakie są programy wyborcze? I tu wyborca spotyka się z największym paradoksem amerykańskich wyborów prezydencjalnych: właściwie „republikanin" Herbert Hoover, i „demokrata" Franklin Roosevelt niewiele się różnią. Przypuszczano pier-

wotnie, że Roosevelt hołdować będzie tradycji Wilsona, że wypisze hasło Ligi Narodów na swym sztandarze. Tymczasem kandydat demokratów niemniej od Hoovera woli stronić od europejskich kłopotów. Osławiona (i przereklamowana) sprawa prohibicji również nie stwarzała żadnych rozbieżności, wystarczyło, by Roosevelt proklamował powrót do „mokrych" czasów, a już Hoover milcząco godził się na zniesienie prohibicji. Wreszcie — cła, protekcyjne, ale i tu nastąpiła ideowa zgoda pomiędzy rywalizującemi stronnictwami. Na temat, bardziej interesujący szersze koła ludności, czy zostaną cofnięte emerytury wojenne (soldiers'bonus), obaj kandydaci uporczywie milczeli, ale nie jest tajemnicą, że obaj są zwolennikami zniesienia zapomóg. W sprawie długów wojennych stanowisko obydwu rywali jednakie: nic nie bonifikować.

Gdy więc brak głębszego podłoża ideowego, gdy nie można było wyborcy zaprezentować większych różnic programowych, gdy właściwie demokraci niczem prawie nie różnią się od republikanów, walka wyborcza przeistoczyła się w walkę osób. Biura wyborcze wychwalały i reklamowały swych kandydatów osobiście. „Hoover jest świetny organizator", wołali republikańscy reklamiarze.

„Świetnie zorganizował kryzys" odpowiadali im przeciwnicy.

Poza niechybnie szlachetnymi i pełnymi dobrych chęci kandydatami stały kliki. Wspólnicy bootleggerów i członkowie Tammany Hall. W kraju, który przy zmianie prezydenta, zmienia wszystkich urzędników, w którym korupcja i sprzedajność sięga senatorów, nowojorskiego lorda majora, prezydentów policji, — potęga walczących klik jest nieograniczona, a miljony rzuconych na kampanję wyborczą dolarów umożliwiają rozpętanie namiętności.

Zapomniano o jednym. O samym obywatelu. „Forgotten man" — tak popularne dziś w Ameryce miano — chce dojść do głosu sam. Mister Ost z Portlandu w stanie Oregon zamieszcza w prasie list, godny uwiecznienia:

„Głosowałem niegdyś na Mc. Kinleya, później na Teddy Roosevelta, na Wilsona, Coolidge'a... Teraz już jestem zmęczony. Nauczyło mnie doświadczenie, że jakkolwiek kandydat nazywać się będzie, do jakiejkolwiek będzie należał partji, rezultat jest ten sam. Ludzie bogaci dopilnują, aby służył ich celom. Pewnem jest, że mnie nie reprezentuje nikt. Więc pocóż mam głosować na prezydenta?" Inny znów wyborca, niejaki Monrose z Tampy, zapytany, na kogo będzie głosował, odparł z oburzeniem: „Dlaczego nie pytacie mnie, czy mam pracę, jak idą interesy w mojej miejscowości, czy dużo jest w obiegu pieniędzy w Tampie i wielu jest bezrobotnych?"

Oto istota wielkiego humbugu. Dwanaście miljonów bezrobotnych, — i nikt nie szuka dróg wyjścia z zaczarowanego koła. W programie Hoovera, ani w programie Roosevelta o tych 12 miljonach nie wspominało się. „Zapomniany człowiek" miał wybierać pomiędzy „Anglikiem" Hooverem a „starym kartoflem"?

Rozreklamowana walka klik, jakkolwiekby się nazywała, zostanie tylko walką biur wyborczych Tammany Hallu i kwatery republikańskiej.

Leo Hochberg

REFLEKSJE

SZAJKA ZBÓJÓW

Rewelacyjna książka Otto Lehmanna Russbüldt'a „Za kulisami wojny", ukazała się w przekładzie polskim. Czytelnik polski ma tedy łatwy dostęp do przytoczonych w tej książce dokumentów, które demaskują międzynarodową organizację przemysłu wojennego.

Tu dopiero, z tych dokumentów widać, czem jest jedna z największych potęg, przygotowujących wojnę.

Międzynarodowy przemysł wojenny nie zna granic, nie zna interesów poszczególnych państw, nie zna żadnych traktatów pokojowych i paktów przyjaźni. Organizuje trusty i kartele dla dostarczania materjału wojennego wszystkim, którzy płacą. Zarówno podczas pokoju, jak i podczas wojny.

Parę przykładów.

Podczas wojny światowej Anglików ostrzeliwano w Dardanelach z armat dostarczonych przez wytwórców angielskich.

Zakłady Skody założyły w Petersburgu odlewnię stali, wytwarzającą sprzęt artyleryjski dla zakładów Newskich, żołnierzy więc austrjackich kosiły na galicyjskim froncie pociski z armat, w których wytwarzaniu brały udział przedsiębiorstwa ich kraju.

Krupp, oficer francuskiej Legji Honorowej (!) dostarczał w ciągu dziesiątków lat więcej, niż połowę swej produkcji armat 52 państwom, które podczas wojny zabijały temi armatami Niemców i ich sprzymierzeńców. Podczas bitwy pod Koeniggrätz *po obu stronach frontu* zabijano się pociskami z haubic Kruppa.

Urodzony w Grecji Bazyli Zaharoff sprzedał flocie greckiej jedyną wówczas łódź podwodną Nordenfeldta, równocześnie zaś sprzedał wrogowi swego narodu, Turcji, dwie łodzie podwodne, ponieważ Turcja lepiej płaciła niż Grecja.

Niemiecki sterowiec „Parseval", dostarczony Anglji, był niezwykle skutecznym środkiem na niemieckie łodzie podwodne. Niemieckie sterowce typu „Parseval" sprzedawano również Japonji i Rosji.

„Skoro przed wojną nie wstydzono się dostarczać sprzętu wojennego przyszłym możliwym wrogom i to nawet taniej, niż własnej ojczyźnie, to dlaczegóżby nie zaopatrywać wrogów *również podczas wojny?* Tak postępowały obydwie strony, zarówno Ententa, jak i państwa centralne" (str. 71). Oczywiście — za pośrednictwem państw neutralnych. Żołnierze niemieccy, szturmujący fort Douaumont zawisali na drutach kolczastych, które przed dwoma miesiącami Magdeburska Fabryka Drutów i Kabli dostarczyła Szwajcarji. Przemysł wojenny ententy podczas wojny pomagał niemieckiemu przemysłowi uzbrojeniowemu przez wwóz niklu do Szwajcarji i Szwecji, skąd nikiel ten wędrował do Niemiec. Francuskie gazy trujące zatruwały żołnierzy francuskich, wywożono bowiem z Francji dwusiarczek węgla do Szwajcarji, a stąd szedł do Niemiec i wracał do Francji w postaci gazu trującego.

Tak to wygląda... Taki jest patrjotyzm największych potentatów przemysłu wojennego.

Wstrząsająca książka Lehmanna Russbüldt'a wprowadza nas za kulisy wojny i ukazuje najbardziej cyniczne zbrodnie organizatorów międzynarodowej rzezi.

Czy nie szajka zbójów, którym powinno się skonfiskować wszystko, co posiadają? *Widz*

PAMIĘCI FRANCISZKA SOKALA I ALBERTA THOMAS'A

Przemówienie wygłoszone przed mikrofonem Polskiego Radja w Dzień Zaduszny, dn 2 listopada 1932 r.

Jeżeli w dniu poświęconym pamięci Zmarłych, powracamy sercem i myślą ku postaciom nam drogim i bliskim, nawet gdy żywot ich doczesny był tylko drobnem ogniwem w życiu narodu i ludzkości, tem większy spada na nas obowiązek uczczenia w dniu tym jednostek, których trud ziemski zaznaczył się wybitnemi zasługami na polu dobra ogólnego, którzy zarówno w dziejach społeczeństwa własnego, jak i zespołu ludów cywilizowanych wyorali głęboką bruzdę dzieł, powszechności poświęconych.

Takimi mężami byli ś. p. Fr. Sokal i ś. p. Alb. Thomas, obaj zmarli w roku bieżącym, w bardzo bliskim od siebie odstępie czasu, obaj porwani przez śmierć w sile wieku męskiego, kiedy zdawaćby się mogło, czekały Ich długie jeszcze lata coraz owocniejszej działalności. Fr. Sokal zmarł przeżywszy lat zaledwie 51, Alb. Thomas tylko o niespełna trzy lata był od Niego starszy.

Nie jest rzeczą przypadku, że pamięć o obu tych Mężach łączymy w jednem wspomnieniu. Jakaś dziwna tajemnicza nić związała ze sobą żywoty Sokala i Thomasa, jak złączyło Ich w jednym szczupłym okresie czasu niezbadane a niezłomne prawo śmierci.

Choć urodzeni zdala od siebie, Thomas w wolnej i niezależnej Francji, Sokal w uciskanej przez władztwo obce w Polsce, jeden jako syn skromnego piekarza francuskiego, drugi jako syn wybitnego inżyniera polskiego; chociaż młodość ich i pierwszy okres lat męskich ubiegły każdemu z Nich w zgoła innych warunkach, albowiem gdy Fr. Sokal po ukończeniu szkół średnich i politechniki warszawskiej podjął pracę zawodową jako inżynier i biorąc zresztą żywy udział już w życiu społecznem młodzieży politechnicznej, pozbawiony był jednak jako Polak w ówczesnym zaborze rosyjskim możności wybicia się na jawnej arenie życia państwowo-publicznego, Francuz Albert Thomas, ukończywszy studja klasyczne i najwyższą uczelnię pedagogiczną swego kraju: Ecole Normale, mógł po krótkim okresie pracy nauczycielskiej, stanąć do warsztatu poważnej działalności publicznej, do której Go pociągały wrodzone zdolności, wielki temperament i nadewszystko umiłowanie spraw społecznych, a wśród nich walka o poprawę losu warstw pracujących; — chociaż w dobie gdy Sokal tylko w uczuciach swych i studjach osobistych wyrywał się z kręgu swych zajęć zawodowych, Albert Thomas był już wybitnym przywódcą francuskiej partji socjalistycznej, redaktorem „Humanité", autorem szeregu prac o zagadnieniach socjalnych, radcą miejskim i merem swego rodzinnego miasta Champigny, a od roku 1910 posłem do parlamentu francuskiego, mimo tego tak nawzajem od siebie odrębnego toku życiowego, nadeszła chwila, gdy los począł dwu tych ludzi zbliżać ku sobie coraz bardziej i bardziej.

Tym okresem zwrotnym stała się wielka wojna światowa i jej stopniowy rozwój, noszący w sobie zaród przeobrażeń, wiodących ku wskrzeszeniu Państwa Polskiego, ku utworzeniu Ligi Narodów, a w jej ramach Międzynarodowej Organizacji Pracy.

Utajone w Sokalu dążenia do działalności na polu społecznem, znalazły swój pierwszy na większą skalę wyraz w roku 1916, kiedy, jeszcze w dobie okupacji niemieckiej, społeczeństwo polskie b. zaboru rosyjskiego podjęło pierwsze, jakże jeszcze ciasne i skrępowane, ale spełniane z niewymownym zapałem, zadania w dziedzinie jawnej samoistnej organizacji zbiorowego życia narodu. Zostaje Sokal jednym z pierwszych polskich Inspektorów Pracy i wkrótce potem kierownikiem biura do spraw przemysłowych i ochrony pracy w ówczesnym samorządzie m. Warszawy. Wypełnia ciężkie i trudne te obowiązki z wrodzonym sobie spokojem, wytrwałością i sumiennością, uważając je słusznie za wstępną fazę ku pracy w wolnej Ojczyźnie, której wskrzeszenie stawało się coraz bliższą koniecznością dziejową.

W tymże czasie Alb. Thomas stał już w krwawiącej Francji w pierwszym rzędzie najwybitniejszych demokratycznych mężów stanu. Rząd francuski powierza Mu w r. 1915 podsekretarjat stanu do spraw organizacji zbrojeń, w r. 1916 wysyła Go do Rosji dla ściślejszego zespolenia akcji wojennej i politycznej aljantów, a następnie czyni Go Ministrem Zbrojeń t. j. szefem jednego z najważniejszych w dobie wojny działów administracji państwowej. W r. 1917, już po wybuchu pierwszej rewolucji rosyjskiej, wielkie talenty Thomasa oraz popularność i powaga, którą posiadał w najszerszych sferach świata pracy, skłania Rząd francuski do ponownego wysłania Go do Rosji, tym razem w charakterze ambasadora i ministra pełnomocnego Francji przy ówczesnym Rządzie Kiereńskiego.

Z tego co dotychczas o misji tej wiemy, miał Thomas przyczynić się swym wpływem do przeobrażenia Rosji w państwo o ustroju demokratycznym i skłonić ją do wytrwania w walce z mocarstwami centralnemi.

W owej chwili zetknął się Thomas po raz pierwszy bezpośrednio z wielkiem zagadnieniem rozwiązania sprawy polskiej po ukończeniu wojny. Jako syn wolnego narodu i demokrata, nie wahał się już wówczas domagać się wskrzeszenia Państwa Polskiego jako szczery przyjaciel Polski, którym pozostał aż do zgonu i który narodowi naszemu oddawał potem niejednokrotnie poważne i niezapomniane usługi.

Jakże jednak odległemi jeszcze były wówczas pola działania Alberta Thomasa a Franciszka Sokala, pierwszego na wielkim terenie spraw światowych, drugiego w ciężkich zmaganiach się z okupantami niemieckimi o najdrobniejsze skrawki wolniejszego życia polskiego.

Zmalał jednak ten dystans błyskawicznie z chwilą, gdy w wyniku wojny Polska odzyskała byt swój niepodległy. Kiedy w r. 1918 powstaje pierwsze polskie Ministerstwo Pracy, Sokal jako Szef Sekcji i Główny Inspektor Pracy staje się organizatorem zarówno poczynań praktycznych w tej dziedzinie, jak i współtwórcą zasadniczych podstaw polskiego ustawodawstwa socjalnego. A nie było to sprawę łatwą w owym pierwszym okresie po wielkiej wojnie, wśród zgliszcz i chaosu, bezrobocia i nędzy mas, bez własnej tradycji, bez doświadczenia.

Nie potrwała jednak bardzo długo bezpośrednia, osobista działalność Sokala na tym gruncie. Zebrała się w Paryżu Międzynarodowa Komisja dla przygotowania działu społecznego w przyszłym traktacie pokojowym — i do tej Komisji jako delegat Polski mianowany został Fr. Sokal.

I oto tam zetknął się po raz pierwszy osobiście z Albertem Thomas, jednym z głównych rzeczników oparcia pokoju na zasadach istotnej sprawiedliwości socjalnej, co znalazło następnie swój wyraz w XIII części Traktatu Wersalskiego, powołującego do życia Międzynarodową Organizację Pracy, zapowiadającej wielkie reformy ustawodawstwa społecznego i stałą obronę interesów świata pracy.

Przy tym właśnie warsztacie wielkich i ciężkich wysiłków nastąpiło coraz ściślejsze zespolenie ideowe i osobiste Fr. Sokala i Alb. Thomasa. Związał ich wspólny ideał sprawiedliwości społecznej i dążenie do jego ewolucyjnego urzeczywistnienia, związała niezłomna wola oddania sił swych temu ideałowi, związała wielka energja pracy, w Sokalu raczej skupiona i refleksyjna, w Thomasie iście galijska, wybuchowa, ruchliwa, pełna niezwykłego talentu oratorskiego, — w obu połączona z wybitnemi zdolnościami organizacyjnemi i umiejętnością przekonywania nietylko tych, których sprawy bezpośrednio bronili t. j. pracowników, ale często i świata pracodawców, usposobionych z natury rzeczy niezbyt entuzjastycznie dla głębszych reform socjalnych.

I oto nastąpił długi, bo od r. 1919 do r. 1932 trwający, okres stałej wiernej i solidarnej współpracy obu Mężów. Stało się to w ramach Międzynarodowego Biura Pracy, którego Alb. Thomas został Dyrektorem, kierownikiem, duszą ożywczą, a Fr. Sokal również od początku aż do zgonu stale wybieranym przedstawicielem Polski w Radzie Administracyjnej Biura oraz Delegatem Rządu Polskiego na wszystkich niemal Międzynarodowych Konferencjach Pracy. Mieszkając w Genewie, siedzibie Międzynarodowego Biura Pracy, stał się Sokal jednym z najbliższych towarzyszów działalności Thomasa w dziedzinie międzynarodowego ustawodawstwa społecznego, a zarazem gorącym rzecznikiem tego ustawodawstwa w Polsce, pionierem oparcia polskiego życia państwowego na dobrobycie materjalnym i moralnym najszerszych warstw narodu.

Wszystkie reformy, którym Międzynarodowe Biuro Pracy dało początek, a jest ich liczba wielka, począwszy od konwencji o 8-godzinnym dniu pracy, o ochronie pracy kobiet i nieletnich, organizacji rynku pracy i t. d. aż do walki o lepsze warunki egzystencji tubylców w kolonjach — wszystkie one opracowane zostały i przeprowadzone pod naczelnem kierownictwem Alberta Thomasa, lecz przy istotnym i wybitnym, choć ogółowi nieraz mniej wiadomym udziale Sokala.

Nie ograniczały się jednak zainteresowania i prace Sokala i Thomasa do tych zagadnień ściśle międzynarodowych. Sokal brał udział w życiu Polski nietylko poprzez swą rolę w Międzynarodowej Organizacji Pracy, lecz również wpływał bezpośrednio na politykę społeczną Rządu Polskiego przez duży posłuch, który miały jego opinje, a następnie gdy jako polski Minister Pracy i Opieki Społecznej od listopada r. 1924 do listopada r. 1925 ujął ster tej dziedziny w swe ręce.

Inną oczywiście być musiała i była rola Alberta Thomasa w życiu Polski. Była ona niemniej w pewnych wypadkach bardzo wydatna i owocna. Wzmacniany przez Sokala w swych uczuciach przyjaznych dla Polski i najdokładniej przez niego poinformowany o istotnych stosunkach polskich, nie wahał się Thomas dawać jasny wyraz swym sympatjom ku naszej Ojczyźnie, a w sprawach poszczególnych, zwłaszcza w zakresie zagadnień śląskich, oddał Polsce na terenie międzynarodowym poważne usługi. Widomym dowodem stosunku Thomasa do Polski były też kilkakrotne jego pobyty w kraju naszym, jego entuzjastyczne przemówienia, jego gotowość do przyjmowania młodzieży polskiej na praktykę do Międzynarodowego Biura Pracy, wreszcie jego prywatne wynurzenia zarówno ustne, jak i listowne. Umiała Polska ocenić tę życzliwość Thomasa, przyjmując Go zawsze gorącem sercem, czyniąc Go Doktorem Honorowym Wszechnicy Jagiellońskiej, Honorowym Obywatelem największego ośrodka robotniczego w Polsce m. Łodzi i t. p.

Zrozumienie ścisłej łączności zagadnień społecznych z zagadnieniami politycznemi, które cechowało Thomasa od zarania Jego działalności, było również cechą wybitną indywidualności Fr. Sokala. Temu też faktowi przypisać trzeba, że Jego praca życiowa nie ograniczyła się do spraw wyłącznie socjalnych. Uzbrojony w wielką znajomość terenu międzynarodowego i w uzyskane na nim zaufanie, zostaje Sokal mianowany w r. 1926 stałym Delegatem Rzplitej przy Lidze Narodów, w randze posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego, pełniąc tę odpowiedzialną funkcje równocześnie z dalszem piastowaniem urzędu w Międzynarodowym Biurze Pracy. Jako Delegat do Ligi Narodów uczestniczy w szeregu ważnych Komisji Ligi, przeprowadza w r. 1927 na Zgromadzeniu Ligi pamiętny wniosek potępiający wojnę, dając tem początek późniejszemu paktowi Kelloga, broni wytrwale interesów Polski, jako rzeczniczki pokoju, dąży wszelkiemi siłami do wzmocnienia naszego stanowiska w skłóconej rodzinie narodów świata.

Taką oto bogatą i zasłużoną linję życia Fr. Sokala i Alb. Thomasa przerwała przedwcześnie w roku bieżącym śmierć nieubłagana. Zabrała ich w sile wieku, zabrała ich Polsce i światu, zabrała Rodzinom w każdym z Nich najlepszego męża, ojca i brata.

Niechże to krótkie, żywoty Fr. Sokala i Alb. Thomasa zaledwie w najogólniejszym zarysie odzwierciadlić mogące przypomnienie Ich zasług, będzie jednym z wyrazów wdzięczności Polski wobec dwóch Mężów, których zespoliła miłość jednego ideału, i wspólna niespożyta praca. Cześć Ich pamięci!

Gustaw Simon

„Epoka" jest pismem dla ludzi myślących, którzy pragną pogłębić swój sąd o rzeczywistości współczesnej.

ZWYCIĘSTWA OPIEKI SPOŁECZNEJ

(Dokończenie).

Książęcy pałac schroniskiem dla dzieci! Trzeba widzieć z jakim entuzjazmem oprowadzający nas lekarz mówi o szczytnych zadaniach społecznych swego zakładu. Wskazuje na marmurową tablicę u wejścia, na której widnieje napis: „Wer Kindern Paläste baut, reifzt kerkermauern nieder" *(Kto buduje dla dzieci pałace, ten burzy mury więzienne).* Nie jest to dziełem przypadku, że wybrano na schronisko pałac, że go pięknie odnowiono i pozostawiono w nim resztki dawnego przepychu. Kierownikom zakładu idzie właśnie o to, aby źle chowane albo trudne do wychowania dzieci wprowadzić do zupełnie nowego, możliwie najlepszego środowiska i oddziałać na nie w ten sposób. Jest to poprostu „leczenie" za pomocą zmiany środowiska.

Stałe zakłady dziecięce w Wiedniu różnią się od zwykłych, głównie tem, że każdy zakład jest inny. Nastąpiła tu *indywidualizacja zakładów* opieki nad dzieckiem. W tem właśnie tkwi cały sens istnienia zbiorni i pałacu Wilhelminy — jako zakładów centralnych — decydujących o tem, który zakład nadaje się dla danego dziecka najlepiej. Istnieją więc np. osobne zakłady dla dzieci uczęszczających do szkoły powszechnej, osobne dla dzieci w wieku szkolnym, które należało usunąć z rodzin, osobne dla uczęszczających do szkoły średniej, osobne dla słabowitych i trudnych do wychowania, osobne dla zaniedbanych i t. p.

Atmosfera zakładu przeniknięta jest najnowszemi prądami pedagogiki wychowawczej i lekarskiej — opiera się na swobodzie i zaufaniu. Mundurek — zewnętrzne piętno „zakładowców" — jest usunięty. Dawnych dozorców i dawne siostry zastępują fachowo wykształceni wychowawcy i lekarze.

***

Wypada jeszcze w paru słowach poinformować o najciekawszej szkole wiedeńskiej, która ze sprawą opieki społecznej łączy się najściślej: jest to *t. zw. II Centralna Szkoła Dokształcająca m. Wiednia.*

U nas i wogóle dotychczas — z pojęciem szkoły dokształcającej łączy się obraz szkoły wieczornej, gdzie zmęczona po całodziennej pracy i nawpół senna młodzież rzemieślnicza przechodzi ze znudzeniem kurs iluś tam klas szkoły powszechnej. Niczego podobnego niema w Wiedniu.

Coprawda — między nami a Wiedniem istnieje tu zasadnicza różnica: każdy rzemieślnik wiedeński posiada elementarne wykształcenie. To też, gdy u nas szkoły dokształcające oprzeć trzeba na nauce w zakresie szkoły powszechnej, a nawet na zwalczaniu analfabetyzmu — tam stworzono z tych szkół coś zupełnie nowego i oryginalnego.

Szkoła dokształcająca wiedeńska opiera się na istniejącem w wiedeńskiem ustawodawstwie pracy prawie, według którego młodociani rzemieślnicy prócz niedziel wolni są od pracy jeszcze jeden dzień w tygodniu (środy). Dzień ten (8godzin) obowiązani są spędzać w szkole dokształcającej, gdzie uczą się nauk teoretycznych, związanych z ich fachem, oraz pogłębiają praktycznie samą znajomość rzemiosła.

Co ciekawsze — w szkole takiej muszą uczyć się i pracować również młodociani bezrobotni — pod karą odebrania im zasiłku pieniężnego; ci z racji wolnego czasu obowiązani są, oczywiście do pracy dłuższej (nie przekraczającej jednak 24 godz. tygodniowo).

Odrazu rzucają się w oczy pedagogiczne korzyści tych zarządzeń. Młodociany rzemieślnik nie jest traktowany jak dzieciak ze szkoły powszechnej. Nauka i praca stoją tu na wyższym poziomie i są najściślej związane z zawodem samego ucznia, to też żywo go obchodzą i interesują. Uczeń sam rozumie potrzebę takiego kształcenia, jest aktywny, pracuje chętnie i z zadowoleniem.

Była już mowa o tem, jakie są gospodarcze przesłanki wiedeńskiego szkolnictwa. Austrja, która nie może konkurować z sąsiadami z braku bogactw naturalnych i niedoskonałych urządzeń technicznych (na roli i w fabrykach), musi położyć silny nacisk na wychowanie *inteligentnego i wykształconego robotnika.* Jedynie taki robotnik produkować będzie wyroby najlepsze, zdolne do konkurencji z wyrobami innych krajów; jedynie taki — emigrując — potrafi znaleźć sobie pracę poza granicami kraju. Dzisiejsza Austrja liczy jeszcze na długie lata emigracji. Te wszystkie cele pragną osiągnąć socjaliści wiedeńscy za pomocą owych szkół dokształcających. Pogłębiając znajomość istniejących zawodów, albo ucząc nowych — przygotowuje Wiedeń kadry robotnicze fachowo świetnie przygotowane, które mogą sobie łatwiej znaleźć pracę — zwłaszcza zagranicą.

Centralna Szkoła Dokształcająca spełnia, jednak jeszcze jedną niezwykle ciekawą rolę: jest centralną instytucją badania konjunktur rzemieślniczych. Idzie o to, że szkoła bacznie obserwuje zapotrzebowania rynkowe i stara się kształcić przedewszystkiem w tych zawodach, które w danej chwili są potrzebne i pożądane. W miarę potrzeb lub wymierania zawodów — szkoła przerabia rzemieślników zawodów wymierających, uczy ich innych, w danej chwili pożądanych. Tak było w Wiedniu np. z kołodziejami, których nauczono rzemiosła pokrewnego: wyrobu karoseryj samochodowych; gdy i tych było za wiele, uczono rzemiosła narciarskiego i t. d.

Jest to jedna, z największych szkół dokształcających w Europie. Olbrzymi piękny budynek z dziedzińcem wewnątrz (razem 9000 m.² obszaru) — zbudowany zupełnie nowocześnie. Połowa budynku — to sale wykładowe, laboratorja, pracownie naukowe i t. p. Druga połowa — to warsztaty. Są tu najrozmaitsze: stolarka, malowanie, lakierownia, meblarstwo, krawiectwo, kapelusznictwo, drukarnia, wyrób dachów, karoserje, fotografja i t. p.

Słowem, to wszystko, co stworzył Wiedeń w zakresie opieki społecznej, budzi podziw i uznanie, daje naukę najbardziej pożytecznego dziś przykładu

Stefan Kloński

„Epoka" wyrzeka się jakichkolwiek trywialnych sensacyj dziennikarskich.

ODGŁOSY

POMYŁKA CENZURY

Cenzura utworów literatury pięknej służy, jak wiadomo, do tego, ażeby zwracać uwagę szerokiej publiczności na najbardziej interesujące książki. Słynny proces Flaubert'a, losy utworów Wedekinda, ostatnio zaś sprawy Joyce'a i Lawrence'a świadczą o tem aż nadto dobitnie. Ale, niestety, i cenzura myli się czasem.

Przykładem tego jest świeża konfiskata powieści Zbigniewa Uniłowskiego p. t. *Wspólny pokój*. Młode i niedoświadczone chłopię, bez pojęcia o literaturze, dostaje się w środowisko Ziemiańskiej (którego niedawna przeprowadzka do nowego lokalu odbyła się uroczyście pod egidą wzniosłych haseł propagandy sztuki). Co tam robi? To, co inni, t. j. słucha i gada na zmianę. Czego słucha? Ponieważ nie jest jeszcze dopuszczony do święceń pierwszego stopnia, nie zasiada przy stoliku uznanych sław, tylko nieco dalej. Słyszy zatem echa rozmów ludzi, którzy dzięki swoim talentom i wiedzy zawodowej, nadają ton ruchowi literackiemu epoki. Ponieważ ludzie ci stoją na bardzo wysokim poziomie intelektualnym, mogą sobie pozwolić na klepanie po ramieniu najdonioślejszych zagadnień życia i sztuki, oczywiście tylko w rozmowach kawiarnianych. Do owego młodzieńca docierają zatem — jak się rzekło — echa tych świadomie powierzchownych, okolicznościowych, paradoksalnych „powiedzeń", zniekształconych przytem przez powtarzanie.

Na tem się wychowuje, nic przeważnie nie rozumiejąc, ponieważ nie zadaje sobie trudu docierania do źródeł owych sądów i ocen tak prostą — zdawałoby się — drogą poznawania dzieł twórczych, o których mowa. Nie przeszkadza mu to rozprawiać o nich na podstawie wiadomości, czerpanych z trzeciej albo i dziesiątej ręki. Znałem człowieka, który potrafił mówić godzinami o twórczości Proust'a, nie znając żadnego innego języka, jak polski.

Takie jest środowisko „intelektualne". A środowisko domowe? Właśnie ten „wspólny pokój", uwieczniony w tytule. Makabryczne kłębowisko gruźlików, obłąkańców, karjerowiczów i „dziwek" (że użyję zwrotu autora), a nadewszystko wyuzdanych chamów, chamów, chamów!... Doprawdy, strach pomyśleć, że każdy z nas ociera się w kawiarni o ludzi tego typu, wyglądających zresztą nazewnątrz jak gdyby nigdy nic. Jedno potworne, obrzydliwe świństwo, dławiące oddech w piersi.

Trzeba tu z całą stanowczością odeprzeć mogące powstać nieporozumienie. Nie chodzi mi o tworzywo literackie, dla którego nie mam zamiaru wykreślać granic (od czasów Zoli sprawa wydaje mi się być przesądzoną), ale o stosunek autora do tematu. Potrzeba wielkiego talentu na to, ażeby móc ważyć się na taką rzecz. Nie tak łatwo jest przerazić śmiałością tematu tych przedstawicieli starszego pokolenia, którzy przeżywali walkę Przybyszewskiego o nową sztukę, a dzisiaj czytają i rozumieją Lindsay'a lub Lawrence'a. Ale brak talentu na tym terenie stwarza plugastwo i niezdrową sensację. Ten młody człowiek odczuwa ohydę otoczenia i pragnie ją ujawnić — zamierzenie w zasadzie chwalebne, lecz... nieudane, ponieważ w jego kałuży nie przegląda się żadne słońce.

Gdyby mogła istnieć cenzura, wyrokująca w imię kryterjów artystycznych, orzeczenie powinnoby brzmieć bardzo surowo: dziesięć lat przymusowej nauki i pracy nad sobą. A co zrobić z krytykiem, który napisał entuzjastyczną ocenę tej książki? Nie mam dość sadystycznej wyobraźni. Poszukajcie czegoś odpowiedniego w „Ogrodzie udręczeń"!

B. I. B.

FILM

»ZIEMIA NICZYJA«

„Ziemia niczyja" zbudowana została przez młodego reżysera Trivasa, jakgdyby według wellsowskiej metody dla filmu pacyfistycznego: życie nieświadome istoty wojny, rzeczywistość wojenna, wreszcie wola położenia końca wojnie.

A więc na początku mamy, ujęty w cyklu Anglja — Francja — Niemcy — fotomontaż spokojnego, pożytecznego, codziennego świata pracy. Bohaterami są zwykli, przeciętni, szarzy ludzie. Jakże spokojnie i pogodnie płynie życie, jak twórcza jest każda ich godzina, tego przy warsztacie, tamtego przy piórze, innego przy maszynie. Jakże potrzebny jest każdy żonie, dziecku, przyjaciołom, na swojem miejscu jak drzewo wrośnięty.

Nagle lecą po świecie gromkie odezwy, szumne słowa, frazesy — mobilizacja. Niby zrazu żal, niby popłakują żony, ale już na miejscu zbiórki działać zaczyna sugestja tłumu, rytm żwawy marsza...

I jeszcze następne dni pełne tryumfów. Nowiutkie mundury, błyszczące hełmy, żwawe musztry, ciepłe wrażenie odmiany, honoru, wolności i odjazd w ukwieconych wagonach wśród roju podlatujących w powietrze czapek.

A potem zmiana scenerji. Komunikat: na froncie spokojnie prócz drobnych utarczek; rzeczywistość: olbrzymie masy ziemi rozdzierane — wściekłym miotem ognia karabinów maszynowych.

W opuszczonych okopach spotyka się pięciu żołnierzy wrogich narodów. Przygotowano ich przedtem starannie, aby wyzwolić w każdym z nich wściekłe zwierzę, gotowe rzucić się do gardła wroga. I oto ci ludzie, którzy powinni się byli nawzajem wymordować — okazują sobie pomoc, ratują się nawzajem.

Niemiec, częstując Francuza papierosem, nazywa go mimowoli „Kamerade". Spoglądają sobie w oczy i uśmiechają się obaj do tego słowa.

Gdy zalewa ich chmura gazów trujących, jeden drugiemu gorączkowo pomaga nakładać maski, gdy pociski rozrywają ich okop i grożą mu runięciem wszyscy pracują dla wszystkich, jak bracia dla braci.

Wśród długich godzin trwogi, cierpień, wspólnego czekania na smagnięcie śmierci stapiają się ich żołnierskie dusze i rozpłomieniają się wstrętem ku bratobójczemu rzemiosłu. I gdy dźwięczy nareszcie trąbka pokoju, Niemiec, Francuz, czy Anglik, których pociski zmiotły do tego obozu, wychodzą z niego — ludźmi.

Film jako całość artystyczna nie jest bez wad, dałoby mu się zarzucić uchybienia w montażu i zdjęciach, ale ze względu na swe nasilenie ideowe, na realistyczne ujęcie grozy wojny i na budzenie otuchy przez pokazanie zwyciężającej dobroci człowieka — jest jeszcze jedną piękną kartą w księdze prac nad pokojem świata. *Jadwiga Baranowska*

ZANIEDBANY CZYNNIK

Od pewnego czasu jesteśmy świadkami bardzo charakterystycznego zjawiska. Nie jest ono ani dziwne, ani tembardziej niepokojące, czy niebezpieczne — jest tylko charakterystyczne i stanowi pewnego rodzaju *signum temporis*. Mamy w tej chwili na myśli to niezwykłe zaintersowanie, ten — możnaby powiedzieć — przerost zainteresowania, jakiem darzy się obecnie i u nas i na całym świecie dziedzinę sportu.

Chwilami możnaby ulec złudzeniu, że powracamy szybkiemi krokami do czasów antycznych, do epoki gymnasiów i olimpjad, do kultu dla człowieka wszechstronnie pięknego — do wysiłków, zmierzających ku osiągnięciu *kalokagatii*. Nie ulega najmniej wątpliwości, że nic tak nie przyciąga obecnie uwagi najszerszych mas, jak różnego rodzaju „wyczyny" i rekordy w dziedzinie lekkoatletyki, piłki nożnej, boksu i t. p. Entuzjazm dla sportu zatacza coraz szersze kręgi i wciąga w sferę swych zainteresowań nawet tych, którzy sami nie są zdolni do żadnych „wyczynów", a przecie z niezwykłem natężeniem uwagi śledzą rezultaty takich czy innych zawodów.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że ci entuzjaści sportowi rekrutują się przedewszystkiem z licznych bardzo zastępów młodzieży, w pierwszym rzędzie młodzieży szkolnej. Kierownicy tej młodzieży, wychowawcy opiekują się troskliwie dziedziną sportu, widząc w niej — zupełne słusznie — teren najbardziej może odpowiedni do tak zwanego „wyżycia się", t. j., inaczej mówiąc, do wyładowania nagromadzonej w młodym organizmie energji. I z pewnością nikt nie będzie się spierał z tem, że lepsze pod każdym względem jest spędzenie wolnej od zajęć szkolnych godziny na świeżem powietrzu podczas jakichś zawodow sportowych, niż — dajmy na to — na bilardzie w zadymionej sali kawiarnianej pełnej najrozmaitszego rodzaju mikrobów chorobotwórczych (dosłownie i w przenośni).

Władze szkolne — u nas i na całym świecie — doceniają należycie znaczenie sportów i gier ruchowych na świeżem powietrzu i otaczają je specjalną troskliwością. Zaniedbana doniedawna nauka tak zwanej gimnastyki podniesiona została obecnie do godności przedmiotu nauczania równorzędnego z innemi, przewidzianemi przez programy szkolne. Podniesiono ją do tej godności i jakgdyby dla zaznaczenia, że zrywa się z dawną niezbyt chlubną tradycją gimnastyczną, dano jej nową nazwę: ćwiczeń cielesnych. Poza tem istnieje przecież cała obszerna dziedzina, obejmująca wielorakie odmiany usprawnienia fizycznego, nosząca nazwę wychowania fizycznego. I tu właśnie, w tem miejscu — kiedy użyliśmy już tego słowa: w y c h o w a n i e — chcielibyśmy na jedną stronę zagadnień sportowych zwrócić uwagę.

Czy sport może odgrywać rolę czynnika wychowawczego w całokształcie prac nad urabianiem umysłów, dusz, charakterów naszych przyszłych obywateli, dzisiejszej młodzieży szkolnej? Czy wychowanie fizyczne może zawierać w sobie istotnie pierwiastki wychowawcze? Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w tym wypadku odpowiedź może wypaść tylko twierdząca.

Nie jest zapewne pozbawiona głębszej myśli stara maksyma, uzależniająca zdrowie duszy od zdrowego ciała. Choć c o r p u s s a n u m nie jest jeszcze absolutnym dowodem istnienia w danym osobniku m e n t i s s a n a e, to przecież nie znaczy to, że zbytecznem i pozbawionem podstaw słuszności jest dążenie do wytworzenia harmonji między ciałem i duszą i że osiągnięcie tej harmonji nie tylko jest możliwe, ale nawet jest konieczne. I to właśnie — zdaje się — powinnoby być celem wspomnianego przed chwilą wychowania fizycznego.

Nigdzie może nie uzewnętrzniają się temperamenty młodzieży, jej charakter ze wszystkiemi swemi wadami i zaletami, jak właśnie podczas różnorakich igraszek na wolnej przestrzeni, jak właśnie podczas najrozmaitszych zawodów i t. zw. „wyczynów" sportowych. Stopień rozbudzonej ambicji indywidualnej obok poczucia solidarności zespołowej, zdolność do zwalczania przeszkód i nieustępliwość w dążeniu do osiągnięcia celu, a więc hart woli lub tej woli słabość, taktyka w zdobywaniu przodowniczych miejsc i cały szereg innych jeszcze cech charakteru tu właśnie, na boisku sportowem, występuje w całej okazałości i bez osłonek konwenansu, który na innych terenach życia młodzieży tę i ową cechę zaciemnia i utrudnia jej rozpoznanie.

Przed wychowaniem fizycznem otwiera się bardzo rozległe i niezmiernie wdzięczne pole do działania wychowawczego.

A jeżeli dzisiaj spotkać się można czasem z ujemnemi objawami oddziaływania sportów na młodzież, jeżeli szlachetna emulacja nabiera cech brutalności, a zdrowa ambicja przeradza się w nieliczącą się z niczem bezwzględność, jeżeli przerost mięśni powoduje zanik władz duchowych i zabija zdolność i umiłowanie pracy umysłowej — to świadczy to nie o szkodliwości sportów, raczej o tem, że właśnie c z y n n i k w y c h o w a w c z y z o s t a ł t u z a n i e d b a n y.

Nasze władze szkolne ostatniemi czasy zwróciły bardzo baczną uwagę na stopień przygotowania pod względem wychowawczym zastępów nauczycielskich zarówno czynnych, jak i przygotowujących się do swego nauczycielskiego zawodu. Urządzane są stale specjalne kursy, mające na celu właśnie kształcenie i dokształcanie sił nauczycielskich. Jest to zabieg bardzo słuszny i konieczny. Ale ta dbałość o przygotowanie wychowawcze kierowników młodzieży powinnaby w równej mierze, jeżeli nie przedewszystkiem objąć nauczycieli ćwiczeń cielesnych. Nie tylko dlatego, że — jakeśmy to zaznaczyli — oni właśnie mają najwięcej okazji do wychowawczego oddziaływania, ale i dlatego, że na nich dotychczas zbyt mało może zwracało się uwagi.

Przy należytem uwzględnieniu czynnika wychowawczego w wychowaniu fizycznem tak często spotykane dzisiaj skargi na ujemny wpływ sportów na młodzież będą musiały zamilknąć.

Zygmunt Michałowski

„Epoka" jest pismem niezależnem od żadnej partji czy grupy politycznej.

ZRÓDŁO REZYGNACJI

„Czas" krakowski w n-rze 248-ym z dn. 28-go ub. m. zamieszcza godny uwagi artykuł p. t. „I tak już teraz na zawsze". Przytaczamy ten artykuł in extenso.

***

„Rozpaczliwa konkluzja polskiego bezrobotnego, którego list ogłosiła niedawno „Epoka" nasuwa pewne poważne refleksje. Skąd się bierze, na jakiem podłożu wyrasta ten ton rezygnacji? Polski bezrobotny nie ma za sobą (jak Niemcy lub Anglja) dziesięciu, czy ośmiu lat, w których miljonowe masy były bez pracy, ale dwa lub trzy takie lata. Polski bezrobotny nie ma przed sobą 10 procent ogółu ludności, pozbawionych od lat pracy (jak Niemcy), ale 1—2 procent jej ogółu. Polski bezrobotny nie jest (jak w krajach starego i wysoko rozwiniętego przemysłu) proletarjuszem miejskim, od szeregu pokoleń oderwanym od wsi, ale jest jeszcze i gospodarczo, i socjalnie, i psychologicznie związany z wsią. Polski bezrobotny nie jest (jak bezrobotny amerykański) kimś, kogo los z okresu wysokiej i coraz wzrastającej stopy życiowej przerzucił do zupełnej nędzy, której państwo w niczem nie jest obowiązane pomóc, ale jest człowiekiem, którego stopa życiowa była zawsze niska, którego odporność jest wskutek tego większa, który wkońcu ma — w niewystarczających może, ale w dostosowanych do sił społeczeństwa rozmiarach, — zapewnioną pomoc państwową i społeczną. Zdawaćby się więc mogło, że bezrobotny polski, który mniej może cierpi wskutek kryzysu, niż bezrobotny krajów wysoko - kapitalistycznych, mniej też, niż bezrobotni tych krajów będzie przystępny rezygnacji. Tymczasem jest niejednokrotnie wprost przeciwnie. Nastrój rezygnacji jest w Polsce silniejszy, niż na Zachodzie. Zdawałoby się pozornie, że ten nastrój jest mniej niebezpieczny, niż niezadowolenie, wrzenie mas. W rzeczywistości jednak jest to zjawisko najniebezpieczniejsze.

Odpowiedź, skąd się bierze to zjawisko w Polsce, jest równocześnie wskazaniem, gdzie tkwi w Polsce źródło niebezpieczeństw socjalnych. Z pewnością pierwotnem źródłem jest kryzys gospodarczy. Z pewnością w pewnym stopniu, przyczynia się do takiego nastroju niezawsze właściwa polityka niektórych gałęzi życia gospodarczego np. redukowanie w wyższym stopniu ojców rodzin, niż samotnych (w r. 1930 bezrobotni obarczeni rodzinami stanowili już 55.6%). W bardzo znacznej jednak mierze nastroje rezygnacji, nastroje beznadziejności wśród polskich bezrobotnych są logicznem następstwem jednego z dwóch eschatologicznych mitów: nacjonalistycznego i socjalistycznego. Zarówno nacjonalizm jak i socjalizm widzą w obecnym kryzysie realizację swego mitu o końcu starego świata gospodarczego, po którym przyjdzie coś innego i nowego.

Nacjonalizm widzi w obecnym kryzysie koniec gospodarki światowej i wymiany światowej. W rozpaczliwych konwulsjach dogorywa jego zdaniem okres, w którym założeniem działalności gospodarczej przedsiębiorcy był zysk, terenem tej gospodarki cały świat, w którym coraz bardziej wzrastająca konsumcja, coraz bardziej rozszerzające się rynki były założeniem działalności gospodarczej — i w którym dzięki tym założeniom „rezerwowa armja pracy" malała coraz bardziej, ręce szukające zajęcia znachodziły je prawie zawsze. Dziś ten okres się kończy. Przychodzi nowy, w którym ideałem będzie zamknięte gospodarstwo narodowe, w którym wytyczną działalności gospodarczej będzie nie zysk przedsiębiorcy, oraz zajęcie dla rąk poszukujących pracy, lecz względy „narodowe" to jest postulaty ideologji nacjonalistycznej i w którym wobec tego— konkluduje bezrobotny, który się nasłuchał nacjonalistycznego programu gospodarczego — będzie coraz gorzej.

Mit socjalistyczny nie stawia sobie ideałów pozagospodarczych. Ideał ma właśnie charakter socjalny i gospodarczy — równość gospodarczą, która będzie równocześnie pomyślnością gospodarczą. Istotą tego mitu nie jest jednak cel, lecz metoda, lecz droga do celu. Droga ta — to wizja coraz gwałtowniejszych, coraz ostrzejszych kryzysów, coraz nędzniejszych mas, coraz większych i nieliczniejszych fortun — i wizja przewrotu socjalistycznego jako końca tej ewolucji. Taktyka socjalistyczna traktuje kryzys obecny chwilami, jako ostatni kryzys kapitalizmu, ale najczęściej — z taktycznej ostrożności — jako pierwszy z serji kryzysów globalnych, coraz ostrzejszych, coraz bardziej niszczących masy. I znowu bezrobotny, słuchając tego programu i tej analizy sytuacj nie myśli o obietnicy szczęśliwości materjalnej dla swych prawnuków, czy praprawnuków, tylko wyciąga wniosek: będzie coraz gorzej.

Mit nacjonalistyczny — mit socjalistyczny, to są dziś źródła pesymizmu i beznadziejności mas. Nie pomoże wysiłek państwa, akcja charytaaywna społeczeństwa, jeśli masom głodującym, marznącym, szukającym bezskutecznie pracy, co chwila będzie rzucane z tej i tamtej strony hasło: „będzie coraz gorzej". Ileż wewnętrznego optymizmu tkwi — w zestawieniu z tym pesymizmem — w haśle tak przez nacjonalizm i socjalizm ironizowanem: „przetrwamy". Przetrwamy, doczekamy czasów, gdy praca będzie dla wszystkich, i chleb dla wszystkich, gdy świat będzi eznów jednością kulturalną i gospodarczą. Nie będzie tak na zawsze".

***

Interesujący wywód „Czasu" byłby słuszny, gdyby dzisiejsze „mity" społeczno - polityczne odsuwały wszelką istotną naprawę do dalekiej przyszłości. Wszelako „mity" te właśnie — zgodnie czy niezgodnie z rzeczywistością — podsycają wiarę, że wielka i podstawowa zmiana porządku nadejdzie niebawem i w ten sposób masom, ulegającym sugestji owych „mitów", dodają otuchy. Nie wchodzimy tu w kwestję conajmniej ryzykownego zrównania przez „Czas" dwóch „mitów" — nocjonalistycznego i socjalistycznego — stwierdzamy tylko, że one raczej, każdy swemi metodami, podtrzymują nadzieję na bliską już i dobrą odmianę, a więc nie przyczyniają się do rezygnacji.

Rezygnacja bezrobotnego, którego list zamieściliśmy w „Epoce", świadczy właśnie, że nie działają nań *żadne* sugestje ideowe. Słowa jego: „I tak już teraz na zawsze" mówią o braku wiary nietylko w poprawę jego położenia, ale i w to, że jego dzieciom może być kiedyś lepiej. Gdyby uwierzył w ten lub inny „mit" społeczny, widziałby już dzieci swoje wyratowane w innym ustroju.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

W swoją trwałość i niezmienność wierzy faszyzm włoski. Dano temu wyraz w całej serji uroczystości z okazji zakończenia pierwszego dziesięciolecia regime'u w Italji. Il Duce wygłosił przy tej okazji dwa wielkie przemówienia, jedno w Turynie, drugie w Medjolanie.

Obydwie te mowy, gdyby brać je dosłownie, musiałaby zbudzić wiele niepokoju na świecie.

Szef rządu włoskiego adresował w nich wyraźnie do Paryża, różne groźby i ostrzeżenia. W mowie turyńskiej, mówiąc o rozbrojeniu, zajął stanowisko w obronie żądań niemieckich i dodał: „Nie chcemy niczyjej hegemonji w Europie".

W mowie medjolańskiej oświadczył tak: „Dziś mówię z najgłębszem przeświadczeniem, że nasze stulecie będzie stuleciem faszyzmu i potęgi Italji, która poraz trzeci stanie na czele cywilizacji świata".

Ze wzruszeniem cytuje te słowa wypowiedziane do 700.000 ludzi na placu przed katedrą medjolańską, organ Hitlera „Völkischer Beobachter". Z cytat i komentarzy zieje bezsilna tęsknota do naśladowania wielkiego mistrza włoskiego.

Zapowiedzi przerobienia świata padają dość często, a tymczasem nędza dnia codziennego nie zmniejsza się, a raczej rośnie. Powiedzą to samo we Włoszech i w Niemczech setki tysięcy słuchaczów dyktatora i jego nieudolnych naśladowców.

***

Bardzo znamienny incydent rozegrał się ostatnio w Paryżu. Po ogłoszeniu ogólnych zarysów t. zw. konstrukcyjnego projektu rozbrojeniowego, opracowanego przez p. Paul Boncour'a, jako ministra obrony narodowej, rozeszły się w prasie francuskiej pogłoski, że projekt ten, jako zbyt pacyfistyczny spotkał się z kategorycznym sprzeciwem generałów sztabu z Weygand'em na czele.

Przeciwko pogróżkom idącym ze sfer wojskowych ostro zaprotestował socjalista francuski p. Leon Blum.

W naszej prasie nacjonalistycznej zajęto odrazu stanowisko w obronie gen. Weygand'a, a plotkarze snuli nić pogłosek o zatargu generałów z rządem i t. p. Również w prasie rumuńskiej ukazały się wieści o walce na ostre między marsz. Petain.em, gen. Gamelin, gen. Weygand'em, a cywilnym ministrem armji.

Rychło przyszło wyjaśnienie i to z ust gen. Weygand'a, który lojalnie oświadczył w „Le Temps":

„Nie oficerowie, ale rząd ma ostatnie słowo w sprawach politycznych.

Jesteśmy tylko rzeczoznawcami z głosem doradczym. Rząd jest panem sytuacji i on tylko decyduje".

Inaczej we Francji być nie mogło.

***

Reakcja całego świata ma wielkie zmartwienie. Premjer francuski p. Herriot odwiedził republikańską Hiszpanję, w imieniu demokracji francuskiej, wyrosłej na tradycjach Wielkiej Rewolucji przywiózł pozdrowienia zwycięskiej rewolucji hiszpańskiej.

Wypełzły jątrzące podejrzenia: Herriot pojechał zawrzeć tajny pakt z Hiszpanją, Francja chce zabrać wyspy Balearskie i t. p.

Oczywiście, że podróż p. Herriot'a ma na celu zbliżenie dyplomatyczne z Hiszpanją, ale nie to przecież budzi zgrozę tam, gdzie niema demokracji.

Szydło z worka wychodzi w organie reakcji niemieckiej „Deutsche Tageszeitung", gdzie czytamy:

„Nic dziwnego, że pisma madryckie „Heraldo de Madrid", „La Luz", „El Sol", „Ahora", witają z radością wizytę francuską. Atmosfera francusko - hiszpańska przypomina bardzo francusko - włoską z przed wojny. Podówczas radykalno - socjalistyczna Francja pod kierunkiem politycznie czynnego Wielkiego Wschodu Paryża popierała siły liberalne Italji, przeciw zachowawcom, przeciw konserwatystom w Niemczech i przeciw klerykalnym tendencjom Habsburgów. I teraz ma Francja, znowu pod radykalnem kierownictwem, dwóch tych samych przeciwników, do których można zastosować te same formuły, Niemcy odwracające się duchowo od demokracji francuskiej i włoski faszyzm".

Szczere wyznanie organu junkrów niemieckich wyraźnie podkreśla, na jakie dwa obozy dzieli się świat pomimo wielu różnic: z jednej strony demokracja, z drugiej wojujący reakcyjny nacjonalizm.

Po wielu wojnach i przewrotach nic się pod tym względem nie zmieniło.

Sojusze politycznie inaczej pomyślane mają zawsze charakter nienaturalnego prowizorjum, które pęka z łatwością.

St. Gr.

CZERWONE I NIEBIESKIE*)

Tego roku śniegi spadły niespodzianie przy ciepłej pogodzie na świeże, jeszcze nie zwarzone oziminy. Zaraz potem wziął mróz i ścisnął grubą warstwę śniegu od góry. Bogumił drżał o to, co się tam dzieje pod spodem, czy ruń jeszcze oddychająca i zielona nie wygnije pod tą mokrą, zasklepioną z wierzchu pierzyną. Chodził brzegami pól i wystawiając ręce na nikły blask słońca, badał, czy dosyć mocne, żeby śnieg prędko stopić. Stopiło go niebawem. Szkody się okazały, ale tylko na jednem polu, gdzie ozimina szczególnie wybujała, a grunty były z natury nieco mokre.

Po odwilży przyszły zwyczajne przymrozki, oziminy przywiędły i przyżółkły jak trzeba, zaś w połowie listopada chwyciła zima co się zowie. Ale mrozy, śniegi i nawet sanna trwały tylko do grudnia, w grudniu nastała zmienna pogoda, naprzemian zadymki i odwilże, i naogół tak ciepło, że Bogumił drenował faszyną ogród. Przy sposobności okopał i podgnoił stare drzewa, które już przestawały rodzić.

Był ostatniemi czasy bardzo przedsiębiorczo i pracowicie usposobiony. Czuł się jakby go coś nanowo zasiliło do życia. Nie jakoby miał być przedtem podupadły na siłach, ale dawno nie doświadczał z taką mocą uczucia, że potrafi wszystkiemu podołać; chwilami tak go to weseliło, jakby to była jedyna i największa pomyślność, dostępna człowiekowi na ziemi. Czasem aż się dziwił, że się tak dobrze czuje, bo przecież właściwie niedawno spotkało go prawie nieszczęście, a w każdym razie ciężkie zmartwienie i rozterka. Ale to nieszczęście było i radością, zaś miał już widać taką naturę, że pamiętał tylko pomyślną stronę zdarzeń. A może los czy Pan Bóg, pędząc go tak ochoczo do roboty, dawał mu w ten sposób poznać, że to jest oto uciecha właściwa jego starym latom, a nie tam zabawki miłosne. A jednak jego stan ducha miał jakby związek ze sprawą panny Ksawuni i choć Bogumił prawie o tem nie myślał, coś w nim za niego wiedziało, że bez tego, co przeżył w zeszłym roku, nie byłby teraz tak dobrze usposobiony. Wprawdzie go ta miłość ominęła, ale niedarmo ludzie mówią, że powściągnięte żądze nie giną, a obracają się w człowieku na innego rodzaju moce, też potrzebne do życia.

Niekiedy zapytywał siebie, czy tak samo bywa i z kobietami, i troskał się, gdyż miał zwyczaj troskać się o los drugiego człowieka, czy panna Ksawera nie wyszła z tej przygody więcej poszkodowana, niż on, ale wnet się zaczynał śmiać z takiej myśli. Jej dwadzieścia lat zdawały mu się najlepszym, niezawodnym ratunkiem na wszystkie tego rodzaju cierpienia. Tedy uspokajał się i w tym względzie i pracował, starał się niby młody, tembardziej, że zeszły rok uważał za troszkę zbałamucony. Nie ażeby coś nie szło — warsztat miał naoliwiony i zmontowany na moc, ale że nie czuł tak w sobie każdego szczegółu odbywającej się roboty, ani też siebie w każdym jej odgłosie, w każdym jej kroku naprzód.

Więc teraz wdawał się znów napowrót we wszystko, łączył z każdym obrotem trybów swojej folwarcznej maszyny. A że czas zimą nie był na wsi gorący, więc wszystkie wolne chwile, w które przedtem gdzieś jechał albo grał w szachy z Olczakiem, albo drzemał, poświęcał teraz rozpatrywaniu różnych planów gospodarczych, które pragnął wprowadzić w życie.

Najwięcej, i to już oddawna, leżało mu na sercu wydrenowanie Serbinowa — nie faszyną rzecz prosta to dobre było na ogród, — ale jak się należy sączkami, z przeprowadzeniem odpowiednich robót technicznych. Doszło do tego, że nie mógł patrzeć spokojnie, kiedy przejazdem zobaczył gdzie u sąsiadów leżące na polu stosy drenów i rozpoczęte roboty. Druga rzecz, która mu spać nie dawała, to remont, a może przebudowa czworaków. Rządził już tym folwarkiem piętnaście lat i prawdę mówiąc wstydził się tego, że gdy wszystko się w nim odmieniło na lepsze, czworaki wciąż zostawały takie same, to jest pod psem. Robił coś niecoś, żeby je utrzymać w możebnym stanie, ale taka dorywcza łatanina poprostu się nie opłacała, gdyż wszystko się niebawem napowrót psuło.

Chcąc Dalenieckiemu przedstawić dokładnie projekty i kosztorysy zarówno co do drenowania, jak i co do czworaków, obszedł pewnego dnia z Olczakiem wszystkie ludzkie mieszkania. Wnioski, do których potem doszedł, były dość radykalne. Właściwie z czworakami nie można było czekać na drenowanie, ani tembardziej na jego amortyzację. Wybudowanie nowych domów, lub w najgorszym razie gruntowna przebudowa starych, przedstawiała mu się jako rzecz niecierpiąca zwłoki. Dalsze połowiczne remonty opłakanych i o wiele za ciasnych ruder byłyby tylko wyrzuceniem pieniądzy w błoto.

Zaczął szperać w książkach, których sporo sobie w ciągu dwudziestu lat nasprowadzał, ale których prawie że nie miał czasu czytać. I teraz też właściwie nie czytał, a szukał rady i wskazówki w zajmującej go kwestji. W encyklopedji rolniczej znalazł doskonałe artykuły o budowie tanich, racjonalnych pomieszkań i na osobnej kartce papieru wypisywał sobie stamtąd potrzebne dane. Ale natrafił również na niezmiernie zachęcające opisy drenowania, które go tak rozpaliły, że zapomniał o czworakach i ludziach. Ostatecznie jednak opracował rzetelnie obydwie sprawy i jakiś czas rozmyślał, z którą z nich zwrócić się najpierw do Dalenieckiego. Miał nieprzepartą ochotę zacząć od drenowania i wynajdywał coraz to nowe racje, przemawiające za tem. Co do ludzi, mówił sobie, że przecież się nie buntują, więc może jeszcze jakiś czas wytrzymają, mają takie małe potrzeby, a przytem żeby wiedzieli, że gdzie w pobliżu jest inaczej, ale wszędzie było tak samo. A gdy czuł w tem rozumowaniu jakiś brak, coś niesłusznego, niby krzywa orka, na którą zamyka się oczy, myśląc: „jakoś to będzie", walczył z tem uczuciem i powtarzał: — A ile to lat ja sam wytrzymałem w mało co lepszych warunkach, i żyję.

Na to przypominały mu się dzieci ordynariuszy i złościł się: — Tych dzieci, psia krew, napłodzili do licha, i siedzi tam to wszystko w takiej wilgoci.— Tak, ale on ma nie dzieci sobie powierzone, tylko majątek. I tak wahał się i właśnie w stanie tej rozterki był ostatnio u żony, a tam w dodatku jeszcze znękano go sprawą gimnazjum.

---

*) Rozdział z trzeciego tomu powieści „Noce i dnie", który ukaże się niebawem nakładem firmy Jakóba Mortkowicza. Akcja rozdziału ma miejsce w grudniu r. 1904-go.

Ilu to ludzi Bogu by dziękowało, żeby się móc uczyć gdziekolwiek, choćby u djabła! Zirytował się trochę, a po powrocie do domu zastanawiał się, dlaczego, czując się teraz naogół zadowolony z losu, nie posiada tej pogody i wytrwałości w życiu rodzinnem, jakiej mu dawniej nigdy nie brakowało. Miał jakby pretensję o to, że Basia występuje do niego ze swemi kłopotami, żalami, nie ocenia, że go mogła stracić, a nie straciła. Ba, no cóż, nie mogła o tem wiedzieć, ani o tem, że rodzina (wmawiał w siebie, że go to tylko powstrzymało), dla której nie poszedł za głosem szaleństwa, stała mu się jakby mniej do życia potrzebna. Ale nie lubił o tem długo myśleć.

— Do rzeczy — powiedział, otrząsnąwszy się z chwilowego przygnębienia. Już dawno postanowił sobie, że jak wróci w niedzielę z Kalińca, to napisze do Dalenieckiego. Taki sobie naznaczył termin, myślał, że może z Basią trochę się o tych rzeczach naradzi. Kiedy w grę wchodziły nie względy praktyczne, ale jakieś takie wahanie sumienia, ona miała zwykle dobre wyczucie co do tego, jak przystoi postąpić. Sama potem coprawda podawała swoje zdanie w wątpliwość, ale on już wtedy wiedział czego się trzymać.

Jednak nie udało się tym razem porozmawiać, mimo to trzeba sprawę doprowadzić do końca. Siedział już przy biurku i trzymał pióro w ręku, lecz wciąż jeszcze nie wiedział czy napisze o drenowaniu, czy o czworakach. Miał przed sobą obydwa projekty, ale myślą nie mógł się oderwać od drenowania. Przeglądał kosztorys, roznamiętniał się, wreszcie powiedział głośno: — Niema się co namyślać, będę drenował.

Przystąpił do pisania. Po pierwszych ogólnikowych słowach listu odłożył nagle pióro, zapalił papierosa i zapatrzył się w ciemne okno, którego szyby drgały niekiedy od gwałtownych podmuchów zimowego wiatru. Nic właściwie nie myślał, tylko wydawał się jakby ma działanie tego czegoś niewiadomego, co niosła ze sobą spokojnie przemijająca chwila. Skończywszy papierosa, wziął pióro i napisał szeroko i przekonywująco o konieczności przebudowy czworaków.

Po wysłaniu tego listu odrobinę żałował i jakby nawet liczył na to, że Daleniecki się nie zgodzi. Ale jeśli nie zgodzi się na czworaki, to nie zechce też i drenować. Nie, na to prędzej da go się namówić, bo jest chciwy, skusi go nadzieja na większy dochód z majątku. Po raz pierwszy Bogumił skłonny był wykorzystać złe strony charakteru swojego pryncypała. Zresztą myślał — co będzie, to będzie.

Wkrótce potem na dwa dni przed przyjazdem pani Barbary na święta, kiedy szykowali z Olczakiem plan roboty na jutro, wpadła Felicja z wiadomością, że do gminy przyszło wezwanie dla zapasowych. Sołtys przyniósł już przykazy dla każdego imiennie.

— Gdzież ten sołtys, czy przyszedł?

— A on jeszcze pewno jest u siebie we wsi doma, bo ledwie przyszedł z gminy, ale ludzie już się zwiedzieli i strach co się wyprawia. I w Starym Serbinowie i u nas w czworakach taki płacz, taki lament! Bo proszę pana, podobno biorą i Łuczaka, i Banasiaka, i Klimecczaka, i obydwu Kałużnych, i Piechotę.

— Co za gadanie! Banasiak i Kałużni mają niebieskie bilety, a jeszcze przecież z czerwonemi nie brali.

— Kiedy mówią, że i niebieskie bilety i czerwone, wszyscy mają się stawić.

Olczak zmienił się nieco na twarzy, gdyż miał także niebieski bilet.

— Ale bajki — żachnął się Niechcic. — To niemożebne!

W tejże chwili ktoś zapukał do okna. Olczak otworzył lufcik.

— Co tam? Kto? Sołtys? Sołtys przyszedł — oznajmił, zwracając się na pokój.

Felicja chwyciła po drodze zbłocone buty pana i, porzuciwszy je w pokoju służby, podążyła raz jeszcze do czworaków, żeby dać znać, że sołtys przyszedł do dworu z nakazem dla zapasowych.

Sołtysem był gospodarz ze Starego Serbinowa, Aloizy Witczak, przezwiskiem Wolny, dobry znajomy, któremu Bogumił podawał nawet kiedyś syna do chrztu. Stary piękny chłop, usta miał okryte białym, spadającym wąsem, a siwe włosy przystrzyżone. Wyglądał raczej na podżyłego szlachcica, gdyż włościanie w tych stronach golili twarze, a włosy nosili długie. Siedział teraz na podanem mu przez Olczaka krześle i, oparłszy ciemne sękate ręce na rozstawionych kolanach, mówił pomału:

— Tak — tak! — To nie żarty, nie śmiechy. To wojna, panie — wojna.

Bogumił przeglądał otrzymane papiery. Oczywiście miały iść tylko czerwone bilety. Ludzie zaraz tak wszystko przesadzą, przeinaczą. Ale wezwań i tak było więcej, niż się spodziewał. Brali zapas od 1884 aż do 1900 roku.

— Możeby ta proszę łaskom pana chto ze dworu obniósł to po ludziach, bo ja jeszcze muszę iść na Serbinowską Kolonję.

— A jakże tam pszczoły, sąsiedzie, nie spadną nam tej zimy? — zagabnął go Bogumił.

Sołtys kochał się w pszczołach, a z amatorstwa opatrywał też i dworską pasiekę.

— Co mają spaść — odparł zadowolony z napomknięcia o ulubionym przedmiocie. — Miodu im ostawiłem dość, a może zima latoś nie będzie ciężka. Jeden rój był słaby, ten koło gruszki, to ta kiej wolnym czasem przyńdę do niego zajrzeć. One ta robaszki dobrze mają pod boską opieką.

— A co tam na wsi, podobno gwałt się podniósł?

— Ano. Toć nie żarty, nie śmiechy, toć wojna. Każdy płacze, każdy wyrabia jak ma na wojnę iść. A jeszcze w taki świat. Podobno to miesiącami trzeba jechać, a jechać. Od nas pięcioro chłopa bierom.

Olczak ofiarował się iść do czworaków, ale Niechcic, zapaliwszy od niechcenia latarkę, powiedział jakby się namyślając:

— Pójdę z panem. — Właściwie nie wiedział poco, ale coś mu kazało być z ludźmi w tę ciężką dla nich godzinę.

Wyszli. Noc była czarna i mokra. Wątłe światło latarki pląsało przed nimi, dobywając z ciemności grudy błota, rumieniące się i błyskające, i znów zapadające w mrok.

— Gdzie to ta wojna — rzekł Bogumił — a jak to się tu aż u nas odezwała.

W bramie natknęli się na kogoś. Stali chwilę, rozpoznając się wzajemnie, wreszcie poznali Felicję, która powiadomiła ich, że dwórki o mało nie poszaleją.

(D. n.) *Marja Dąbrowska*

LISTY DO „EPOKI"

W dzienniku „A. B. C." zamieszczono opis więzienia kobiecego w Warszawie. Czytamy w tym opisie następujące informację: „U jednego z członków personelu więziennego po odbytej karze służy od paru już lat dzieciobójczyni. Jest wyjątkowo oddaną i troskliwą piastunką jej dzieci". Potem uwaga: „Wydaje się to paradoksem, ale czyż życie nie składa się właściwie z szeregu parodoksów?"

Sądzę, że ta uwaga domaga się pewnego sprostowania. Tak, dużo jest w życiu paradoksów, ale w tym wypadku nic niema paradoksalnego. Właśnie urzędnik więzienny mógł przekonać się lepiej, niż ktokolwiek, że dzieciobójczyni, mimo swej strasznej zbrodni, może nie być jakimś potworem, który już nigdy nie wejdzie na drogę uczciwego i zacnego życia. Tak się myśli w społeczeństwie, które nie wnika nigdy w daną sytuację, nie zastanawia się nad warunkami przestępstwa. Kryminologja nie zna urodzonych dzieciobójczyń.

Tylko straszny splot okoliczności wywołuje tę zbrodnię. A najczęściej wśród kobiet opuszczonych i znajdujących się w nędzy. Ów pracownik więzienny dobrze się przyjrzał ludziom, którzy mają za sobą czyn zbrodniczy i zrozumiał, ilu z tych ludzi może po odbyciu kary wrócić do normalnego życia. Raczej — mogłoby, gdyby nie krzywdzące ich uprzedzenie, wskutek którego byłym więźniom nie chce się dać pracy, co znowu pcha ich na drogę przestępstwa. Cóż dziwnego, że tylu mamy recydywistów.

Urzędnik więzienny, przyjmujący b. dzieciobójczynię, jako piastunkę swych dzieci, to nie paradoks, lecz doskonały, pouczający przykład.

Łódź *Helena Więckowska*

ODDPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Michałowi Z. w Bydgoszczy. Niema powodu do załamywania rąk. Są to wynaturzenia przejściowe. Minął szał tańca, minie również i ta psychoza, której objawy rażą nas w świecie sportowym. Oczywiście, możemy i powinniśmy przyśpieszyć otrzeźwienie, które doprowadzi do zdrowego umiaru. Więc trzeba o tem pisać, ale bez tragizowania sprawy.

Panu Henrykowi M. w Częstochowie. Słusznie. Właśnie ukazała się w przekładzie polskim znakomita powieść Fr. Mauriaca „Kłębowisko żmij". Na str. 83-ciej czytamy: „Wiary w siebie nie można kryć na dnie własnej duszy. Potrzebny nam jest świadek naszej siły, ktoś wybijający takt uderzeń, liczący punkty, uwieńczający nas w dniu chwały".

Panu Konstantemu L. w Warszawie. Samo życie popchnie wielu na prowincję, czy im się to spodoba, czy nie.

Pani Stanisławie B. w Katowicach. Bardzo to łatwo orzekać, że społeczeństwo jest takie a takie. Najłatwiej o uogólnienia. Jeżeli natomiast chodzi o sąd rzetelny, zagadnienie staje się nieco trudniejsze. Zgórą 30 miljonów! Więc niewątpliwie — różne tam znajdziemy kategorje psychiczne i moralne, różne nawet światy. Nikt takiej statystyki nie przeprowadził, ale to jasne, że na owe 30 miljonów znajdziemy poważną ilość ludzi, których trzeba zaliczyć do kategorji najbardziej dodatniej.

Pani zna tylko „paru uczciwych, pięknych ludzi", kto inny zna takich również, jeszcze kto inny wskaże swoje znów dobre „wyjątki" i t. d. Ogółem będzie takich sporo.

Drogą ryzykownych uogólnień dochodzi się tak samo do skrajnego pesymizmu, jak i do wniosków nadmiernie optymistycznych.

Pani Zofji G. w Białymstoku. „Zaczytywanie" się do niczego nie prowadzi. Stąd tylko chaos w głowie, zamęt w myślach, a często i psucie sobie dobrego smaku. Parę dobrych książek na miesiąc to ilość całkiem wystarczająca.

Panu A. K. w Łodzi. To nie argument. Cóżby Pan powiedział, naprzykład, o chorych, którzyby przebywając w jakimś zaniedbanym, brudnym, pozbawionym należytej opieki lekarskiej szpitalu, orzekli, że to jest... kryzys medycyny. Nie, kryzysu medycyny niema, tylko ten szpital jest niedobry...

Panu Józefowi Kidoniowi w Katowicach. Serdecznie dziękujemy za życzenia.

Panu Leonowi Łaganowskiemu w Częstochowie. Naskutek listu pańskiego, zamieszczonego w poprzednim numerze „Epoki", Polskie Radjo ofiarowało chorym Zakładu św. Antoniego w Częstochowie dwa detefony. Dzięki tedy dobremu uczynkowi Polskiego Radja będziecie mieli Panowie żywszy kontakt ze światem.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Fr. Mauriac: Kłębowisko żmij. Powieść. Gebethner i Wolff. Warszawa 1932.

Dr. S. Stendig: Motywy biblijne w twórczości Goethego. Kraków 1932. Skład główny: Dom Książki Polskiej, Warszawa.

Inż. Emil Landsberg: Uwagi w sprawie kryzysu gospodarczego w Polsce. F. Hoesick. Warszawa 1932.

Dr. Roman Battaglja: Wahania cen i ich przyczyny. F. Hoesick. Warszawa 1932.

Antoni Żbikowski. O wolność sumienia w Polsce. Tomaszów Lubelski 1932. Skład główny: Dom Książki Polskiej, Warszawa.

Otto Lehmann - Russbüldt: Za kulisami wojny. Przekład pod redakcją d-ra Juljana Maliniaka. Przedmowa Henri La Fontaine'a, przewodniczącego Międzynarodowego Biura Pokoju. Towarzystwo Wydawnicze „Światło", Warszawa 1932.

Feliks Perl (Res): Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim. Wydanie nowe. Nakł. Centr. Komitetu Wyk. P. P. S. Skład główny w Księgarni Robotniczej, Warszawa 1932.

Władysław Semkowicz: Szkolny atlas historyczny. Część druga. Dzieje średniowieczne i nowożytne. Mapki do dziejów powszechnych opracował Czesław Nanke. Książnica - Atlas, Lwów, Warszawa 1932.

Irzyk Stanisław: Dzienny rozkład materjału naukowego dla oddziału III-go i IV-go 1—5 klasowych publicznych szkół powszechnych. Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa 1932.

Adam Madler: Falista linja. Powieść. Bibljoteka Groszowa. Warszawa 1932.

TREŚĆ NUMERU:

Wydarzenia i dokumenty: „Kryzysowy uniwersytet". Siedem bezczynnych kolosów. Wszędzie to samo. Teatr awangardowy. Reformy w Sowietach. Są lekarze i lekarze... Skreślony artykuł. — *St. Czosnowski:* Czas na inną postawę. — *Wanda Melcer-Sztekkerowa:* Tło i zabójca. — *L. Hochberg:* Walka dwóch klik. — *Widz:* Szajka zbójów. — *Gustaw Simon:* Pamięci F. Sokala i A. Thomasa. — *Stefan Kloński:* Zwycięstwa opieki społecznej. — *B. I. B.:* Pomyłka cenzury. — *J. Baranowska:* „Ziemia niczyja". — *Z. Michałowski:* Zaniedbany czynnik. — Źródło rezygnacji. — *St. Gr.:* Przegląd polityczny. — *Marja Dąbrowska:* Czerwone i niebieskie. — Listy do „Epoki". — Odpowiedzi redakcji.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26 650

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Nr. 2726 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.